

• Jakie alimenty? – pyta ojciec • „Milczący kondor” nad Atlantykiem • Rosiewicz show

Nie kocha się władzy w czasie kryzysu

Lódź **Odgłosy** tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 16 (1307) ROK XXVI 16 KWIETNIA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ



Foto: M. Zajdler

Rozmowa z **KAZIMIERZEM ORZECZOWSKIM**, sekretarzem KŁ PZPR

— Nieobecność etatowego sekretarza zajmującego się na szczeblu wojewódzkim sprawami rolnictwa sprawiła, iż w środowisku wiejskim mówiono, że w Łodzi władza nie interesuje się specjalnie rolnictwem.

— Biedna polityka rolna i związane z tym odczucia wsi nie zrodziły się w Łodzi. Co nie znaczy, że ten problem ominął województwo łódzkie. W 1974 roku został opracowany wspaniały program dotyczący rozwoju polskiego rolnictwa, który później zaprzepaszczone. Można było przynajmniej wykorzystać istniejący potencjał, bo myślny wcale nie produkowali tak mało żywności. Niestety, fundusze poszły na berliety, telewizory kolorowe oraz inne licencje, częstokroć zupełnie chybione.

— A potem przyszedł podział administracyjny kraju.
— Nie da się ukryć, że Łódź na tym straciła. Tereny pod miastem, które weszły w skład nowego województwa, zawsze były rolniczo zaniedbane. Wielki przemysł przytłoczył słabe, małe rolnictwo. Ale trzeba przyznać, że władze administracyjne, w tym wiceprezydent Lech Krowiranda, robiły, co mogły, żeby podzielić to nasze małe rolnictwo. Świadczy o tym fakt, że dzisiaj 10 proc. ludności mieszkającej na wsi daje 20 proc. żywności na zaopatrzenie ludzi w miastach.

— Powołanie sekretarza rolnego świadczy, że nowe władze partyjne przywiązują dużą wagę do produkcji żywności. Oznacza to również nobilitację rolnictwa.

— No, tak to chyba należy ocenić. Ale ja przyszedłem w bardzo trudnym okresie. Nie kocha się władzy w czasie kryzysu. Chłop także patrzy nieufnie, kiedy zapewnia się go o dobrych intencjach władzy, a tymczasem w geście nie może kupić butów gumowych lub gwoździ.

— A jak przyjęli chłopci nowego sekretarza?
— Przyznam szczerze, że wbrew pozorom — stosunkowo przychylnie. Wiem nie lubi dygnitarzy przywozonych w teczce, albo takich, co oderwali się od swojej klasy i patrzy na chłopca z góry. Mnie już znali, bo prawie od dziecka związany jestem z rolnictwem. Pochodzę z podlęczyckiej wsi, która czegoś żałuje, znalazła się w innym województwie, ale od wielu lat pracuje w Łodzi. Kiedy byłem dyrektorem kombinatu szklarniowego w Janowie, nie siedziałem tylko za biurkiem. Jak trzeba było, zakładałem robocze ubranie, wyciągałem pracowników z biura do szklarni i, na przykład, doniczkowałem rośliny. A że przyszedłem do nas po sadzonki rośliny i ogrodnicy z różnych stron województwa, tośmy sobie często pogadali o tym, co nas boli. A jak dziś moi byli pracownicy mają jakieś kłopoty, przychodzą tutaj i wspólnie radzimy, co zrobić, żeby było lepiej.

— Czy to znaczy, że sekretarz urzęduje wyłącznie w gmachu przy al. Kościuszki?

— Wprost przeciwnie, częściej przebywam w terenie. Szczególnie interesujące są dla mnie spotkania z rolnikami. Tam, gdzie nie wszyscy mnie znają, mówię kim jestem. Mówię, że często jeżdżę do wsi rodzinnej. Nie tylko po to, żeby wysłuchać kasiedzkich żalów albo opisać się na miedzy. Tak trzeba to sieć, orzę, koszę. Gdy rolnik stwierdzi, że ja się faktycznie znam na gospodarstwie, inaczej się nam rozmawia. Chłop z chłopem zawsze się dożyja.

— I co wynika z tych rozmów?
— Potwierdza się m. in. to, co znani łódzkie rolnictwo. Istnieje ogromna dysproporcja między powierzchnią użytków rolanych a liczbą ludności. Tymczasem urbanizacja sprawiła, że do niedawna ubywało nam rocznie 700-800 ha. Musimy chronić ziemię, w tym także nieużytki, na których może z powodzeniem powstawać ogródki działkowe. Na ten cel przeznacz się obecnie 300 ha, które po zagospodarowaniu dadzą naturyrolną słoń. Niekorzystna jest struktura gospodarstw chłopskich. 70-80 proc. gospodarstw prawie 65 proc. stanowią gospodarstwa 0,5-2 ha. Ponadto wiele jest gospodarstw dwuzawodowych.

— Z drobnego gospodarstwa nie sposób utrzymać rodzinę. A z drugiej strony w gospodarstwach do 2 ha notuje się najwyższą wartość produkcji.

— Tak, ale około 30 proc. gospodarstw, w tym większość z tej grupy, nie nie sprzedaje państwu. Tu właśnie tkwią rezerwy. W gospodarstwach tych dominować powinna uprawa warzyw, truskawek, krzewów jagodowych i hodowla drobnego inwentarza, bo właściciel dwóch hektarów nie wyżyje z własnego zboża.

— Wydaje się, że poważniejszy problem niż dwuzawodowcy stanowią ludzie w podeszłym wieku.

— To prawda. Myślę, że ponad 70 proc. rolników zbliża się do wieku emerytalnego. Często są to ludzie samotni, schorowani, słabo gospodarujący. Nie można siłą pozbawić ich ziemi i umieścić w domach opieki społecznej, których zresztą nie ma. Bywa tak, że 50-letni ojciec, jeszcze w pełni sił, nie przekazuje gospodarstwa. Nie chce być przez długie lata narobkiem — czeka na przekazanie gospodarstwa, syn zaczyna się w przemyśle. A przodził nam przecież o to, żeby młody został, żeby dokurował ziemię i rozwijał gospodarstwo. Jeśli nie pozyskamy młodzieży dla wsi, przyszłość rolnictwa będzie malować się czarno. Jeszcze gorzej przedstawia się udział młodych rolników w różnych organizacjach samorządowych wsi, gdzie szacujemy, że ich reprezentacja stanowi około 2 proc.

— Bliskość przemysłu i nie najlepsze warunki na wsi powodują, że wzrasta ilość konsumentów, a maleje

3

Aptekarz z Krośniewic miał szczęście

PAWEŁ TOMASZEWSKI

JERZY DUNIN-BORKOWSKI — człowiek-legenda; praprawnuk Marcello Bacciarellego, koneser i miłośnik dawnej sztuki, hetman polskich kolekcjonerów, farmaceuta-milioner, twórca największego prywatnego muzeum w PRL, obywatel numer jeden miasta Krośniewice, uroczy gawędziarz i kompan, ulubieniec prasy... Pomnik za życia. Stojąc przed nim można albo paść na kolana, albo zrzucić go zokołu, nigdy — przejść obojętnie.

JERZY DUNIN-BORKOWSKI — temat-palanka, dziennikarski samograj.

Więc najpierw: na skrzyżowaniu dróg Warszawa — Poznań i Łódź — Gdańsk, prawie w samym środku Polski, stoi przy krośniewickim rynku starodawny zajazd, w którym nocowali m.in. Napoleon i Chopin...

Albo: w kamienicy pod łabędziem — muzeum nad apteką, miły gospodarz prosi nas do mieszkania, kawa, herbata, a może kieliszek czegoś mocniejszego? Staropolska gościnność...

Ewentualnie: zaczynamy od obejrzenia książki pamiątkowej, a w niej — ministrowie, aktorzy pisarze, profesorowie ambasadorzy... Głowa boli.

Potem zwykle: czego tu nie ma — Biblia Leopolda z 1561 roku, zielnik Syreniusza, listy Napoleona, króla Stasia, Kraszewskiego, Reymonta, Sienkiewicza, dokumenty z kancelarii Jagielly i Batoroego, obrazy Bacciarellego i Lampiego, meble generała Sikorskiego, monety, broń, porcelana, bibeloty... Banalna wyliczanka niebanalnych przedmiotów, z których każdy ma swoją niepowtarzalną historię. Karuzela ciągle tych samych nazwisk i dat, działających na człowieka z ulicy, jak opium.

I jeszcze na koniec: gratulujemy osiągnięć, życzymy dalszych sukcesów, odwiedzimy przy najbliższej okazji...

Tak o nim najczęściej pisano.

We wrześniu 1978 roku Jerzy Dunin-Borkowski pódarował swoje zbiory Muzeum Narodowemu. Wyceniono je wówczas „na oko” na 60 milionów złotych. W uznaniu zasług Rada Państwa przyznała kolekcjonerowi Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. W 1979 roku premier Piotr Jaroszewicz wręczył mu Nagrodę Państwową II stopnia w dziedzinie muzealnictwa i ochrony zabytków kultury. Otrzymał też nagrodę Zarządu Wydawnictwa „Epoka” z

okazji Dni Prasy i Wydawnictw SD za wkład w rozwój kultury polskiej i przekazanie zbiorów Muzeum Narodowemu Wymienianie pozostałych nagród, odznaczeń i wyróżnień, jakimi został obsypany, można chyba już sobie darować, zwłaszcza, że zajęłoby to zbyt dużo miejsca.

Dziś na zabytkowym zajeździe widnieją tablica:

„MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, Oddział w KROŚNIEWICACH IM. JERZEGO DUNIN-BORKOWSKIEGO”.

74-letni patron pełni oficjalnie funkcję dożywotniego kuratora swoich — nie swoich już zbiorów. Nie wyobraża sobie rozstania z nimi. Pomimo że został urzędnikiem państwowym, ani przez chwilę nie przestał być kolekcjonerem, nie przestał być sobą. Przed ponad półwieczem tak wrósł w zgromadzoną przez siebie kolekcję, że stał się jakby nieodłączną jej częścią, jeszcze jednym — tyle, że żywym — eksponatem.

Jak długo poznawać trzeba człowieka, chcąc dać o nim wiarygodne świadectwo?

Wizyta w mieszkaniu-muzeum trwa godzinę, dwie, trzy, cały wieczór... Ale trzeba całych lat, by na zebrane tu skarby patrzeć tak, jak patrzymy na książkę telefoniczną, wazonik z Cepelli, list od ciotki z Ameryki, nie tracąc jednocześnie poczucia ich wartości, by usiąść w fotelu rektorów Uniwersytetu Wileńskiego i wypić spokojnie kieliszek domowej nalewki albo zjeść śniadanie na porcelanowej zastawie carycy Katarzyny II — i nie było w tym ani cienia pozy. Na to trzeba być Jerzym Dunin-Borkowskim.

MOJA PAMIĘĆ SIĘGA 150 LAT WSTECZ

— Mając już 4-5 lat wykazywałem duże zainteresowanie pamiątkami rolnymi, przedmiotami, które związane są z naszą kulturą i historią. Nie przemawiały do mnie zabawki czy lakocie. Pamiętam, że dziadek dawał mi na zabawy otwiane kule, które własnoręcznie odlewał w czasie Powstania 1863 roku. Zarówno dziadek, jak i babka — Stanisław i Anastazja Bacciarellowie — byli wspaniałymi gawędziarzami i wiecznie, wiecznie coś mi opowiadali... Dzięki im mogę dziś powiedzieć, że moja pamięć sięga 150 lat wstecz. Wiem, że byłem ukochanym ich wnukiem, cieszyli się, że mam takie zamiłowania.

Tradycja rodzinna — czas przeszły nieutracony, prawdziwy fundament te-

6

Przegląd prasy

CZY SĄ NAM POTRZEBNE ROCZNICE!

— zastanawiam się często nad tym. Czy nie potrafimy bez obchodów rocznic, miesięcy i dni kształtować naszej pamięci narodowej? I dochodzę do wniosku, że nie umiemy, że rocznice i inne tym podobne uroczystości są niezbędne. Przypominają one o pewnych sprawach z naszej przeszłości, o których młodzieńcy jeszcze nie wiedzą, a starzy już zapominają. I nie tylko u nas. Różne grupy na Zachodzie coraz częściej dają dowody tego, że chętnie zapomnieli o lekcji, jaką dała im nie tak dawna historia. I że z tej lekcji nie wyciągnęli właściwych wniosków. Trzeba więc im o tym przypominać. Temu służą między innymi rocznice.

Rozumiejąc ich potrzebę marzy mi się jednak takie działania prasy, radia, telewizji i wydawnictw, aby o przeszłości mówili się stale pełnym głosem, a nie tylko od okazji do okazji, od rocznicy do rocznicy. I aby nie trzeba było ciągle czegoś odkrywać na nowo, albo — jak inni mówią — aby nie było białych plam w naszej przeszłości.

Teraz mamy akurat miesiąc pamięci narodowej i do tego 40 rocznic powstania w getcie warszawskim. Stąd i nasilenie publikacji poświęconych między innymi walce Żydów. W „POLITYCE” (nr 15 z 9 kwietnia 1983 r.) Róża Sakowska udowodniła, że powstanie w getcie w kwietniu 1942 roku nie było nagłym zrywem, ale że ruch oporu zaczął się od samego początku, zmieniał się i powoli przetrwał w ruch zbrojny. Pisze ona, że ruch oporu Żydów stał się sobie dwa nadrzędne cele: — pierwszym „najważniejszym” była „walka z gitem”, — drugi — „to była obrona przed deformacją psychiczną — dramatyczna walka o wartości”.

Przypomina ona, że w latach 1940—1942 ukazało się ok. 60 tytułów, głównie w językach żydowskim i polskim, że prowadzono tajną działalność archiwalno-dokumentacyjną, działano konspiracyjnie, archiwizowano kopie dokumentów, prowadzono tajne badania naukowe, działały biblioteki — tajne odczyty, odbywały się wieczory literackie. Utrzymywano kontakty z innymi gettami nie tylko w Polsce, ale i w Białymostku. Utrzymywano też kontakty z polskim podziemiem.

„W marcu—kwietniu 1942 działalność konspiracyjna w getcie warszawskim — pisze Róża Sakowska — która dotychczas skupiała się głównie na przeciwdziałaniu cywilnym, przedstawia się na nowo to: na plan pierwszy wysuwa się koncepcja zbrojnej konfrontacji”.

W warszawskim getcie działał Żydowski Związek W. Jaskowy i formuła się Żydowska Organizacja Bojowa. 22 lipca 1942 roku rozpoczyna się likwidacja części ludności getta. Od 21 września 1942 roku hitlerowscy ludobójcy wywieźli do komór gazowych Treblinki około 380 tysięcy Żydów. Już 22 lipca 1942 roku zastanawiano się czy nie należy wystąpić zbrojnie. Ale zwyciężył realizm.

Dziś — pisze Róża Sakowska — należy tę ocenę sytuacji uznać za realistyczną. Demonstracja zbrojna w lipcu 1942 r. przy skromnych możliwościach organizacji konspiracyjnych nie była w stanie ocalić ludności żydowskiej przed zagładą, natomiast obawa, że hitlerowcy wykorzystaliby tę akcję jako usprawiedliwienie ludobójstwa, była uzasadniona”.

Powstanie w warszawskim getcie wybuchło dopiero 19 kwietnia 1943 roku i trwało do maja. „Hitlerowcy — pisze R. Sakowska — wprowadzili do walki prawie ok. 3 500 uzbrojonych ludzi, którym przeciwstawił się bojownik ZOB, ZZW i grupy niezorganizowane”. Cytuje ona też opinie gubernatora Franka, który 20 kwietnia 1943 roku pisał do Berlina: „Od wczoraj mamy w Warszawie dobrze zorganizowane powstanie w getcie, które należy zwalczać przy pomocy dział”.

Tak było w Warszawie.

ZUPEŁNIE INACZEJ NA POMORZU

Pisze o tym Tadeusz Jaszowski w „FAKTACH” (nr 14 z 9 kwietnia 1983 r.) w artykule zatytułowanym: „Los Żydów na Pomorzu”. Był on odmienny, ale tylko w formie. I kto wie, czy nie bardziej przez to dramatyczny. Oto na przykład w Bydgoszczy przed wojną żyło 2 tysiące Żydów, a w innych miastach Pomorza od kilkusetosobowych grup do kilkudziesięciosobowych. I naczej było na Kujawach, gdzie w Inowrocławiu, Włocławku, Aleksandrowie Kujawskim, Ciechocinku mieszkało po kilka tysięcy Żydów.

W Bydgoszczy Żydzi „złży utopieni w społeczeństwo (...) i częste były wypadki, że zawierali związki małżeńskie w środowiskach polskich lub niemieckich”. Podobnie było w innych miastach Pomorza. Byli to przeważnie kupcy, finansiersi, lekarze, adwokaci. Tym szybciej i brutalniej postanowili rozprawić się z nimi hitlerowcy. „Utworzenie, po 15 września 1939 roku „Selbstschutzu” jako formy pomocniczej policji na terenach Pomorza — pisze T. Jaszowski — i objęcie dowództwa nad nią przez oficerów SS, przyspieszyło tragiczny los Żydów”. Z nieliczną grupą Żydów bydgoskich rozprawiono się niebawem, ale szybko. Kto nie uciekł przed wkroczeniem Niemców do Bydgoszczy, ten został zamordowany. „... w połowie października 1939 roku nie było już Żydów w Bydgoszczy i Fordoniu”. Niemcy mogli Bydgoszcz uznać za miejscowość „Judenfrei”.

Nim to się stało dokonali się wielkie ludzkie tragedie. Tadeusz Jaszowski opisuje na przykład tragedię Mety Edel, która przed wojną uważała się za narzeczoną urzędnika pocztowego, Maxa Willi Ehrh'a z Wieborka. Wprawdzie tuż przed wojną zniknął on z miasteczka, a wiadomo było, że był członkiem Jung Deutsche Partei, ale wrócił wraz z Wehrmachtem i został członkiem „Selbstschutzu”. Meta liczyła, że pomoże jej uratować się. Jemu była ta znajomość bardzo niewygodna. Pewnego dnia wywołał ją wieczorem do domu, zarządził szewskim nożem i przy pomocy kolegów utopił ciało w pobliskich mokradłach.

Tadeusz Jaszowski przedstawia działalność innego oprawcy hitlerowskiego, którego terenem działania była Łobeznica, a który pochodził z Łodzi i nazywał się Harry Schulz. W Kłasztorniej Górze, gdzie o brał sobie siedzibę, zamordował 60 księży i nie ustanoła bliżej liczbę Żydów. Jego działalność wzbudziła nawet sprzeciw hitlerowców, gdyż stanął przed sądem III Rzeszy i skazany został na kilka lat więzienia, ale karę tę zamieniono na wyjazd na front wschodni. Po wojnie sąd w Bydgoszczy skazał Harry Schulza — którego odnaleziono i aresztowano na ziemiach zachodnich — na karę śmierci.

O tej tragicznej przeszłości warto pamiętać, gdyż są na świecie ludzie, którzy niepomni losu 6 milionów zamordowanych, chcieliby ponownie doprowadzić do wojny. Dlatego nie wolno dopuścić. Od przeszłości przejdźmy jednak do teraźniejszości. A tu nie brakuje spraw zaskakujących i ciekawych. Oto na przykład

ZYGMUNT SZELIGA BRONI JANA BEDNARCZYKA

Jan Bednarczyk pojawił się jako bohater dziennika TV. Jest on prezesem Huty Szkła „Laura” w Tarnowie. W DTW został przedstawiony jako kombinator, który ustalił wysoką pensję sobie, swojej żonie, głównemu księgowemu i jego żonie. Włodzimierz Krzyżanowski w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM” (nr 14 z 3 kwietnia 1983 r.) w artykule pod znamienym tytułem „Bohater dziennika TV” prezentuje różne opinie na temat postępowania Jana Bednarczyka i jego zarobków, co tak zbulwersowało opinię społeczną w PRL.

„Laura” z Tarnowa miała zawsze ambicje. Mała spółdzielnia, ale obecna była na Targach Poznańskich. Tam spotkano Jana Bednarczyka, który reprezentował Hutę Szkła Krystalowego „Irena” w Inowrocławiu, gdzie też pracowała jego żona. Jan Bednarczyk pochodził z Tarnowa. Wraz z żoną byli absolwentami AGH.

Zgodzili się przyjechać do Tarnowa. Płaca ich wówczas zwiększyła się o kilka tysięcy. — „Szybko zorientowałem się — zwierzył się Włodzimierzowi Krzyżanowskiemu prezes Jan Bednarczyk — że huta pracuje na wariackich papierach, a ludzie nią kierujący nie znają się ani na produkcji, ani na handlu”.

Hucie groziła kilkumilionowa strata, gdyż jej produkty sprzedawano na Zachód poniżej kosztów wytwarzania. Trzeba więc było zmienić zarząd i zmienić kryteria finansowe w handlu zagranicznym. — „...pozywatem — powiedział Jan Bednarczyk — niekorzystne dla nas kontrakty z Zachodem płacąc za to kary umowne, które były o około piętnaście procent niższe od strat, jakie przyniosłoby nam realizacja tych umów”.

Robotnicy „Laury”, pytani przez Włodzimierza Krzyżanowskiego, wypowiedzieli się o Janie Bednarczyku pozytywnie:

— „Byli prezesi — powiedział na przykład Wiesław Matyja — nie umywali się do obecnego; siedzieli w gabinetach, a ten wchodził fartuch, kombinezon, i jest wśród nas, ba, pomaga w pracy, patrzy co i jak można usprawnić. Jest to prawdziwy fachowiec i prezes”.

— Co stało się przedmiotem sporu? Co zbulwersowało opinię publiczną? Nie wyniki „Laury”. Zarobki prezesa. A więc trzeba podać, jakie one były: — „Prezes Bednarczyk — pisze Włodzimierz Krzyżanowski — w ubiegłym roku zarabiał miesięcznie średnio 55 455 złotych, a jego żona Ewa, główny technolog — 42 293 złote. Średnie miesięczne wynagrodzenie głównego księgowego huty — Mariana Nowaka wyniosło 32 337 złotych, a jego żona Jadwiga — kierownika działu ekonomicznego — 40 709 złotych”.

Te wielkości zostały zakwestionowane nie przez zarząd, która średnią płacę miała na wysokości 15 tysięcy złotych, ale przez Tadeusza Nideckiego — dyrektora Biura Lustracji Centralnego Zarządu Spółdzielni Rękodzielni Ludowej i Artystycznej „Cepelia”, który między innymi oświadczył:

— „Bednarczykowie brali ze spółdzielczej kasy po ponad sto tysięcy złotych miesięcznie i po sto dziewięćdziesiąt tysięcy złotych premii kwartalnie”.

I komentując to stwierdzał: — „...wydźwięk społecznych faktów jest jednoznaczny”.

— Ale z tym nie zgadza się — słusznie — Zygmunt Szeliga z „POLITYKI” (nr 15 z 9 kwietnia 1983 r.), który pisze, że „dyr. Nidecki dopuszcza się, delikatnie mówiąc, manipulacji, która ma podbić bebęnek społecznych nastrojów”. Przecież, jak to wykazał Włodzimierz Krzyżanowski, oboje Bednarczykowie razem zarabiali miesięcznie 97 748 — co łatwo obliczyć — a więc nawet razem nie 100 tysięcy. Czyli dyrektor T. Nidecki mijają się z prawdą. Z. Szeliga uważa dalej, że T. Nidecki nie udokumnował zarzutów, iż „Laury” osiągnęła „wysokie zyski dzięki podwyżkom cen”. Poza tym kwestionował on zarzut, iż w „Laurze” nastąpiło zwężenie proporcji między przyrostem funduszu plac a przyrostem produkcji.

— „Otoż — pisze Z. Szeliga — wynika z tego, że na 1 procent przyrostu produkcji przypadło w „Laurze” 1,33 proc. przyrostu funduszu plac. Informuje dyr. Nideckiego, że gdyby w zeszłym roku podobne relacje osiągnęła choćby jedna trzecia naszego przemysłu — mielibyśmy dziś o połowę mniejsze trudności gospodarcze i rynkowe niż mamy. Średnio w całym przemyśle osobowy fundusz plac wzrósł bowiem w tym okresie tylko o 43 proc., ale za to produkcja spadła o około 8 proc. Czyli relacja między produkcją a funduszem plac była w „Laurze” dwa razy lepsza niż średnio w przemyśle. Daj Boże zdrowie!”

Istotne w wypowiedzi Z. Szeligi jest to, iż proponuje on zmianę sposobu odniesienia. Należy pytać — według niego — nie o to, dlaczego ktoś tak dużo — co jest zresztą względne — zarabia, ale o to, dlaczego ktoś tak mało zarabia?

— „Niestety — pisze on — bardzo wielu albo się nie chce, albo nie zna czy nie docenia swoich możliwości. Zdumiewające, że przedmiotem społecznej niechęci nie stają się ci, którym się nie chce i wolałoby kontentować się mizernym zarobkiem, ale w ogóle ludzie du-

zo zarabiający, nawet jeśli ich dochody są oczywiście pochodną wyników pracy”.

Zmiana takiego punktu odniesienia nie jest łatwa, ani szybka, nie grozi więc zwiększeniem się pieniędzy na rynku, ale — jeśli reforma ma przynieść korzyści — jest niezbędna.

Lubimy — niestety — żyć w świecie utkanym ze schematów, lubimy, aby wszystko było proste i jasne. Bardzo niepokoją nas wszelkie zawiłości, komplikacje, trudności, złożoności. A te istnieją. I nie ma na to rady. Są one — obiektywnie rzecz biorąc — przeciwnymi ludzkomu bojącym się i unikającym złożoności i mającej trudności z dialektycznym myśleniem, a więc silną rzeczy zmierną do uproszczenia obrazu świata. Stąd między innymi wzięły się konflikty między Jerzym Urbanem a jego niekiedy, czytelnikami. Ale oto:

W SUKURS JERZEMU URBANOWI

przyszedł czytelnik „ARGUMENTÓW” (nr 15 z 10 kwietnia 1983 r.), który przeczytał cytaty z „Rycerza Niepokalanej” i „Majęcego Dziennika” — redagowanych — jak wiadomo — swego czasu przez Maksymiliana Kolbego. Oto niektóre cytaty:

— „Atakuje się Kościół za inkwizycję, a przecież inkwizycja była niepełny późniejszy lekarstwem i gdyby spełniła swoją rolę do końca i zniszczyła w zarodku wszelkie zło, nie byłoby krwawej, bezbożnej, zainspirowanej przez Żydów i masonów — Rewolucji Francuskiej” („Rycerz Niepokalanej”).

— „Liberalowie myślą kategoriąmi zeszłego stulecia i dlatego wielu rzeczy oczywistych nie rozumieją. Antysemityzm nie tylko nie jest sprzeczny ze stanowiskiem Kościoła, ale obecnie jest obowiązkiem każdego katolika. Niestety, nie wszyscy katolicy rozumieją potrzebę antysemityzmu i głoszą jak np. pani Zofia Kossak-Szczucka, że antysemityzm jest niezgodny z religią chrześcijańską. Takie stanowisko pomaga tylko Żydom, masonom i komunistom” („Mały Dziennik”).

— „Ale — pisze tenże czytelnik „Argumentów” — w czasie II wojny światowej ks. M. Kolbe po aresztowaniu przez hitlerowców, został zesłany do obozu zagłady w Oswięcimiu. Wykazał on niezłomny patriotyzm, odrzucając stanowczo propozycję przyjęcia walki mimo niezaprzyrzeczonego pochodzenia niemieckiego jego przodków. (...) z narazieniem życia, pełnym poświęceniem pomagał wszystkim współwięźniom niezależnie od rasy i narodowości, w tym Żydom i Cyganom, Ukraińcom, Białorusinom, Litwinom i Rosjanom, nie pytając nikogo o przekonania społeczno-polityczne i światopoglądowe. (...) W ten sposób ks. Maksymilian Kolbe przekształcił niejako wyznawane uprzednio poglądy, a jego śmierć mecenaska, za bractwo-cztowiecka, ma symbol nie tylko ekspiacji, ale najwyższego ludzkiego bohaterstwa”.

I aby obraz był pełny warto przypomnieć, że „TU I TERAZ” (nr 14 z 6 kwietnia 1983 r.) publikuje wypowiedź M. F. Rakowskiego na interpelację grupy posłów, w której to M. F. Rakowski podkreśla, że J. Urban złożył 2 lutego 1983 r. rezygnację z funkcji rzecznika prasowego, a ta nie została przyjęta. Uznano bowiem, że J. Urban swoją funkcję wypełnia „z wielkim talentem i niezachwianą lojalnością”. A przy okazji M. F. Rakowski przypomniał, że w dyskusji o przeszłości M. Kolbego wypowiedziane są również opinie wyraźnie krytyczne i to przez pisarzy różnych kierunków ideologicznych”, przypominając wypowiedź J. J. Szczepańskiego publikowaną w polskiej edycji „L'Osservatore Romano” z 10—11 października 1982 r.

— „Będąc przy „Argumentach” muszę z przykrością donieść Czytelnikom „Odgłosów”, że

stały się ostatnio nudne i prawie że nie do czytania. Widac, że uroczą felietonistka „Argumentów” straciła swój temperament i jest obecnie — jak to mówią w sporcie — bez formy. Szkoda!”

FELIETONY ANNY BŁAZUCKIEJ

Lucjan Bogusz

Przeciw inflacji

Jak być oszczędnym?

W złożonych i skomplikowanych programach wychodzenia z kryzysu, opartych na powodzeniu reformy gospodarczej, są dwa najbardziej istotne momenty. Pierwszy — to systematyczne zwiększanie produkcji. Drugi — to umiejętność oszczędnego gospodarowania. Te dwa dążenia są ściśle ze sobą związane i wzajemnie uwarunkowane. Gospodarka powinna — jeśli jest inaczej, to jest źle — obracać się w kręgu ścisłych danych. Z określonej ilości surowców, przy określonej technologii, przy określonym zużyciu surowców robi się określoną ilość produktów. Chyba, że zmniejszymy ilość braków, odpadów, zużycia energii, zastosujemy bardziej wydajne technologie, nie będziemy tracić czasu pracy i w pełni wykorzystamy maszyny. Wtedy damy więcej. Takie prawdy powtarzamy już od lat. Niestety — bez skutku!

Czy dziś potrafimy inaczej? Musimy. Ale świadomość tego nie zmieni naszych przyzwyczajeń, nawyków i sposobu myślenia. Byłoby idealnie, gdyby mechanizmy reformy gospodarczej działały bezbłędnie, nie były hamowane i spełniały nasze najgłębsze i niecierpliwie oczekiwanie. Ale nie dzieje się samo przez się. Do spełnienia wszelkich, nawet najbardziej wymarzonych oczekiwań, jest potrzebny człowiek i jego codzienna praca. Innej drogi nie ma!

I tu nasze oczekiwania zderzają się z naszymi nawykami. Chcielibyśmy, aby reforma zrobiła wszystko za nas bez nas. Zaczynamy reformę gospodarczą powoli mitologizować, traktować ją jako mechanizm zupełnie samoczynny, niezależny od woli i działania ludzi. A tak przecież nie jest. Najbardziej niezdolności muszą się sprawdzić w codziennej praktyce, zależą od stopnia ich realizacji, od umiejętności wprowadzania ich w życie. Czy te umiejętności, nasza wola, nasza praktyka są już dziś najjaśniejsze?

Inflacja jest nieczym innym jak tylko wzrostem ilości pieniędzy nie mających pokrycia w towarach. Wszystkie więc ruchy cen, sposoby ściągania pieniędzy z rynku są działaniami wtórnymi, ubocznymi, towarzyszącymi. Potrzebnymi, ale nie mogą one zastąpić działania podstawowego — wzrostu produkcji. Temu celowi powinien być podporządkowany wszelki ruch cen. Tego celu jednak nie sposób osiągnąć bez umiejętności oszczędnego gospodarowania. Ale my nie potrafimy być oszczędnymi.

Co to znaczy być oszczędnym? To znaczy umieć przy minimalnym nakładzie pracy, środków, energii, surowców i materiałów osiągnąć jak najwięcej. To znaczy umieć też wykorzystywać jak najlepiej ludzkie umiejętności, predyspozycje. Tego jednak nie osiągnie się z dnia na dzień. Latami uczyliśmy się marnotrawstwa. Nie stać nas na lata, aby się tego oduczyć. Jeśli więc nie potrafimy stać się oszczędnymi z dnia na dzień, to powinniśmy się tego nauczyć w maksymalnie krótkim czasie. Z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc. Codziennie przestawiać swój sposób myślenia, widzenia świata. Umieć spojrzeć krytycznie na własne postępowanie, czy nie można inaczej, taniej, oszczędniej, lepiej, wydajniej. Zawsze istnieje taka możliwość i ucmy się z niej korzystać. Umiejętność oszczędzania zaczyna się od zmiany dotychczasowego sposobu myślenia, jeśli ma to dać w rezultacie wzrost wydajności i produkcji.

Wojewódzki Zjazd PRON

W sobotę, 9 bm. obradował w Łodzi I Wojewódzki Zjazd Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Uczestniczył w nim z ramienia Prezydium Tymczasowej Rady Krajowej kpt. żelazny wielkiej, Walenty Milenuskini. Władze województwa łódzkiego reprezentowali: członek Biura Politycznego KC, I sekretarz KŁ PZPR — Tadeusz Czechowicz, sekretarz KŁ — Andrzej Hampel, przewodniczący WK SD — Stanisław Załobny, sekretarz WK ZSL — Stanisław Wojtunik, przewodniczący Rady Narodowej M. Łodzi — prof. Mieczysław Serwiński oraz prezydent m. Łodzi — Józef Niewiadomski.

Obrodam przewodniczył i referat sprawozdawczo-programowy wygłosił przewodniczący WTR PRON — Igor Sikirycki.

Współprzewodniczącymi zjazdu zostali wybrani: Władysław Rzymki, Wojciech Jabłoński oraz Stanisław Słomkowski.

W zjeździe łódzkim uczestniczyło 256 delegatów. Obecni byli również członkowie TRK i WTR PRON, delegaci na I Kongres, wybrani bezpośrednio na zebraniach dzielnicowych, miejskich i gminnych ogniw.

Dyskusję, w której zabrało głos kilkudziesięciu mówców, poprzedziło wystąpienie przewodniczącego Zespołu Kongresowego PRON, Jacka Krzekotowskiego. Przedstawił on wnioski i opinie oraz uwagi do projektów dokumentów zjazdowych PRON, które ogłoszono w trakcie zebrań ogniw podstawowych.

I Zjazd PRON wybrał w tajnym głosowaniu 18 delegatów na Krajowy Kongres PRON oraz 5 kandydatów do Rady Krajowej PRON.

W zakończeniu obrad zjazd przyjął uchwałę o kierunkach pracy PRON w woj. łódzkim oraz zobowiązał Konwent do opracowania wniosków zgłoszonych w kampanii przedkongresowej, traktując uchwałę oraz wnioski za podstawę przyszłego programu wojewódzkiej organizacji PRON w Łodzi.

W numerach następnych:

- RELACJA ZE STUDENCKIEJ DYSKUSJI
- CO NOWEGO W Ustawie O WYCHOWANIU W TRZEŻWOŚCI!
- CO TO ZNACZY BYĆ ŁAWNIKIEM!
- ROZMOWA Z BEATĄ TYSZKIEWICZ
- REPORTAŻ O „PUNKACH”
- SOLON NIE WYMYŚLIŁ NAJSTARSZEGO ZAWODU ŚWIATA
- SPÓR NIE TYLKO O KINO „POLESIE”

Dokończenie ze strony 1

ilość producentów żywności. — Otóż to! A przecież łódzkie rolnictwo w znikomym stopniu może zaspokoić potrzeby żywnościowe aglomeracji. Najmniejszy udział mają zboża, ale musimy je uprawiać choćby ze względu na plodozmian. Zresztą produkcję towarową, zboż można uzyskać tylko w dużych gospodarstwach. Mamy za to sporo warzyw. Zdarza się, że warzywa i kwiaty wywozi się na Śląsk.

— Czy w związku z tym nie będzie się budować już szklarni w województwie łódzkim?

— Nie zachodzi taka potrzeba. Poza tym koszty produkcji szklarniowej są dziś olbrzymie, a ceny produktów, wzrosty nieznacznie. To handel, zarówno państwowy jak i prywatny, winduje ceny, kwiatów. Brakuje szkła i stali na nowe szklarnie, zaniechano więc rozbudowy kombinatu w Janowie. Proszę sobie wyobrazić, że Janów tylko za energię musi płacić rocznie 100 mln złotych. A gdzie jeszcze fundusz plac i pozostałe koszty? No, jaką produkcję trzeba mieć na 12 ha, żeby wyjść na swoje? Ten problem dotknął także prywatnych ogrodników. Dziś, stosunkowo najtańszą inwestycją są uprawy przyspieszone pod folią.

— Tak, ale zachęca się ludzi do korzystania z folii, a potem jej brakuje.

— Otrzymałmy zapewnienie, że w tym roku zaoczenie w folię będzie lepsze. A jeśli chodzi o różne zachęty, to czas najwyższy na konsekwentne działanie. Muszą być trwałe i korzystne relacje między cenami skupu i cenami środków do produkcji. Brak stabilności spowodował spadek pogłowia trzody chlewnej, gdyż bardziej opłacało się sprzedawać drogie ziemniaki, niż hodować świnie. Gdy potrzeba wszystkiego, nie może być mody na jeden produkt. Rolnikom musi opłacać się uprawiać wszystko...

— Ale w aglomeracji łódzkiej powinno się preferować artykuły do bezpośredniego spożycia, które zle znośną transport na duże odległości.

— Tak jest! A więc mleko, warzywa, owoce, jaja, a także mięso. Mamy odpowiednią bazę przetwórczą, żeby przerobić to, co się urodzi na łódzkich polach. Przemysł rolnospożywczy stanowi 20 proc. ogólnego potencjału przemysłowego.

— Z moich informacji wynika, że w łódzkim przemyśle rolnospożywym 50 proc. potencjału stanowi przemysł spirytusowy, a tylko 1,5 proc. przetwórstwo warzyw i owoców. Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że większość plodów rolnych dla przetwórstwa skupuje się w województwach ościennych, to chyba nie jest aż tak dobrze. Przykładem może tu być okresowy brak dzemów w łódzkich sklepach.

— Rzecz w tym, że jedno województwo woli sprzedawać surowiec, a o przetwórstwo niech się martwi nabywca, dla drugiego zaś korzystniej jest sprzedawać gotowy produkt. Dla Łodzi najlepiej byłoby nabywać surowiec i przetwarzać u siebie. Niezależnie od tego potrzebne są nam również małe gospodarstwa, przetwórcze wspierające przemysł kluczowy i zagospodarowujące okresowe nadwyżki plodów rolnych.

— W Sieradzkim rosła dla Łodzi ziemniaki, które później marnują się w blokowych piwnicach.

— Albo w kopcach, gdzie straty dochodzą czasem do 30 proc. Traci na tym konsument i Spółdzielnia Ogrodnicza. Sytuacja ulegnie po-

prawie, gdy wreszcie w lipcu zostanie oddana przechowalnia ziemniaków i warzyw na 10 tys. ton. Nie trzeba będzie przetrzymywać tych ziemniaków w blokowych piwnicach.

— W kraju na 1000 mieszkańców przypada 32 m kw. chłodni, a w Łodzi tylko 16 m kw.

— O tym trzeba było już myśleć w latach siedemdziesiątych. Dziś straszliwie wzrosły koszty, nie ukończone inwestycje pochłaniają do-

że doradca byłby wtedy dobry, gdyby finansowali go sami chłopcy.

— Jeśli przemysł przetwórczy chce mieć dużo dobrego surowca, sam powinien zająć się kontraktacją i doradztwem.

— Jasne! Gminne Spółdzielnie nie powinny zajmować się wszystkim, mydłem i powidłem. Przemysł z powodzeniem może zajmować się produkcją rolną, od siewu do zbioru. Najlep-

Nie kocha się władzy w czasie kryzysu

datkowe miliony, a cóż tu mówić o nowych? Potrzebna nam chłodnia na 20 tys. ton, bo często dochodzi do tego, że mięso przeznaczone dla Łodzi musimy wozić po Polsce, żeby się nie zepsuło. Trzeba także jak najszybciej uruchomić duży miłn w Pabianicach.

— Sceptycy twierdzą, że nie warto rozwijać przemysłu rolnospożywczego, ponieważ ze słabych gleb w najmniejszym województwie niewiele da się wyciągnąć.

— Doświadczenia wskazują wręcz na odwrotną sytuację. Na takich samych glebach możliwości biologiczne zwierząt i roślin są znacznie wyższe. Wiadomo, że każdy dodatkowy kilogram nawozów powinien dać wzrost plonów zbóż o pięć kilogramów. Na początku lat sześćdziesiątych używano 35 kg NPK na hektar, dziś prawie 190 kg. Ale przy pięciokrotnym wzroście nawożenia plony wzrosły zaledwie o 100 proc. Gdzieś coś nam ginie po drodze. Zapomnieliśmy o roślinach strączkowych i motylkowych, które dają paszę i wzbogacają w składniki glebę, zapomnieliśmy o nawożeniu obornikiem, a ziemia bez próchnicy nie da wysokich plonów, same nawozy sztuczne, w dodatku nieracjonalnie użytkowane, nie pomogą.

— A więc istotnego znaczenia nabiera problem oświaty rolniczej.

— Ba! Nie wystarczy wiedzieć, gdzie i co siał. Dziś rolnik musi być chemikiem, zootechnikiem, mechanikiem, handlowcem, wszystkim. Tymczasem tylko znikomą część gospodarzy ma odpowiednie kwalifikacje. Do przyszłości powinniśmy zaliczyć poglądy, że najgłupszemu w rodzinie należy przekazywać gospodarstwo. Dobry fachowiec potrafi zwiększyć produkcję o 30 proc. A ja myślę, że nawet więcej, jeśli skorzysta z badań placówek naukowych i doradztwa służby rolnej.

— Kiedy służba rolna odeszła z gminy, chłopcy zaczęli rzewnie wspominać dobrego, starego agronoma.

— Częściej niż chłopcy krzyczą naczelnicy, że zabrano im do WOPR służbę rolną, bo ta załatwiała w gminie beznawową papierkową robotę. Poczekajmy cierpliwie. Niech się ci doradcy dokształcają, niech trochę popracują i pokażą, co potrafia. Zresztą nie ma co narzekać, bo doradztwo działa w mleczarstwie, w związkach branżowych. Rolnicy twierdzą, że doradcę powinien oceniać samorząd, i dają



Foto: Mirosław Zajdler

szym tego przykładem jest cukrownictwo, gdzie zawsze mają pod dostatkami dobrego surowca, a także przemysł ziemniaczany.

— Aby jednak na plantacjach osiągnąć produkcję wielkotonową, trzeba stworzyć duże i silne gospodarstwa. Jednakże przebudowę struktury agrarnej nie dokona się administracyjnie.

— Raz już tego próbowaliśmy. I mamy to, co mamy. Ale rozdrobnienie staje się dokuczliwe. Jeśli bowiem gospodarstwo liczy nawet 20 ha, to w kilku kawałkach. Na drobnych działkach trudno wprowadzić tak niezbędną dziś mechanizację. Osobnym problemem jest

mechanizacja małych gospodarstw. No bo czy właścicielowi 2 ha warto przydzielać traktor? SKR też niechętnie obrabiają małe działki, bo tam niszczy się sprzęt. Zresztą w SKR maleje zapotrzebowanie na drobny sprzęt, którego chłopcy mają już więcej. SKR ograniczają się do ciężkiego sprzętu specjalistycznego. Właściciele małych gospodarstw powinni więc zrzęcać się i grupowo nabywać potrzebne maszyny. Przebudowa struktury agrarnej będzie procesem ewolucyjnym. Słabe gospodarstwa same wypadną z produkcji, przejmie je ten, kto będzie najlepiej pracował. Reszty dokona polityka fiskalna.

— Nie wszyscy mają równy start. Czy wobec tego podatek będzie równy dla wszystkich?

— Myślę, że po raz pierwszy znaleźliśmy wreszcie jakieś sensowne rozwiązanie. O wysokości podatku zadecyduje bonitacja gleb, warunki klimatyczne, ale przede wszystkim wartość produkcji sprzedanej państwu. Kto będzie sprzedawał więcej, ponad plan, ten zyska ulgi w podatkach. A ten, co źle wykorzystuje ziemię i sprzedaje mało lub nie, zapłaci wyższy podatek.

— Zbliża się wspólne plenum KL PZPR i WK ZSL. Czy głównym tematem obrad stanie się sfera produkcji rolniczej?

— Na plenum chcemy przedstawić kompleksową fotografię współczesnej wsi podłódzkiej, z jej wszystkimi problemami: produkcją, kulturą i oświatą, lecznictwem itd. Wspólnie z ZSL dążymy do tego, żeby rozwinąć nieufność i niedowierzenie wsi do polityki rolnej. Musimy obsługiwać zebrania wiejskie i wyjeżdżać od podstaw założenia organizacji społeczno-zawodowych rolników. Bo często nieufność bierze się z nieznaności przepisów i uprawnień. A także z błędów i z oporu niektórych przedstawicieli administracji gminnej. Sam byłem dyrektorem, więc wiem, że z samorządem pracuje się trudno; ale skuteczniej i bardziej efektywnie. Żeby ruszyły samorzady, rolnicy muszą uwierzyć w swoją szansę. Nie należy opierać działalności samorządowej tylko na kółkach rolniczych. To nie przez SKR zakłada się związki rolników, tworzą je wszyscy.

— Tymczasem w pewnych środowiskach, a także w niektórych publikacjach, zniekształca się ta fotografia wsi.

— Chłopa szlag trafia, gdy słyszy, jak w radiu mówią, że rolnik mający cztery krowy wstaje tylko dwa razy dziennie, żeby je wydoić i wziąć za mleko sześćdziesiąt tysięcy miesięcznie. Toż to kompletna bzdura! Ale krew psuje. Dlatego działania polityczne PZPR i ZSL muszą zmierzać w kierunku tworzenia wsiatwej atmosfery na wsi i w mieście, pokazywać robotnikowi wiesz, a chłopu problemy nekające miasto. Bogactwo wsi jest mitem, dotyczy znikomą liczbą specjalistów, głównie drobniarzy, sadowników i ogrodników. Z wspólnego plenum zarówno PZPR jak i Zjednoczone Stronnictwo Ludowe oczekują poprawy klimatu społeczno-politycznego na wsi, jak również przybliżenia problemów nurtujących wieś klasie robotniczej przemysłowej Łodzi.

— Powinno się ono przyczynić do skonsolidowania wyników społecznych zarówno wsi i miasta na rzecz umocnienia sojuszu robotniczo-chłopskiego.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
RYSZARD BINKOWSKI

Na przykładzie „Norbelany”

Bardzo trudny początek

1. Mieczysława Włodarczyk, przadka z „Norbelany”, należała już do dwóch związków zawodowych i do trzeciego nie myśli się na razie zapisywać. Woli popatrzeć, jak też będzie on bronił interesów pracownika.

Cecylia Pasternak pracuje przy sąsiedniej maszynie, też należała do dwóch związków, a teraz zapisała się do trzeciego. Obydwie uważają zaś, że ich koleżanka ze zmianą, Wiesława Dłużniewska, powinna dać sobie radę, jako przewodnicząca niedawno założonego NSZZ Pracowników ZPW im. N. Barlickiego.

Według Mieczysławy Włodarczyk: — Da sobie radę, bo jest uczciwa, koleżeńską i ambiczną.

Cecylia Pasternak sadi, że Dłużniewska stanie na wysokości zadania, choć jest młoda, a zresztą przewodnicząca powinna być młoda, bo przecież ona, stara, na to stanowisko nie pójdzie.

2. Stefan Plachta, z zawodu drapacz, od dziesięciu lat należał do związku branżowego, potem był w „Solidarności”, a w tym roku razem z Czesławem Tomaszewskim przeszedł do wniosku, że jakiś związek powinien być nadal w fabryce, bo czym obywateli zebrał jeszcze kilkanaście osób myślących podobnie i tak powstała grupa inicjatywna. 4 lutego 1983 roku nowy związek był już zarejestrowany, a w połowie marca, na pierwszym walnym zebraniu przedstawiciel grup zakomunikował, że oni do zarządu kandydować nie będą, żeby nikt nie mówił później, że jakaś klika przygotowała sobie stołki. Sa-

la wniosku nie przyjęła i tak Czesław Tomaszewski i Stefan Plachta znaleźli się w zarządzie.

Wprawdzie z wykończalni, gdzie pracuje Stefan Plachta, na dwieście czterdziestu osób zapisały się jedynie trzy, ale on nie traci nadziei, że jak związek trochę podziała i będzie już miał na koncie większe efekty, to może reszta zmieni zdanie.

3. Zdzisław Dłużniewski, mistrz ze zgrzebłarni, też należał do grupy założycieli, ale gdy na zebraniu ustalono, że jej członkowie mogą być wybierani do zarządu, nie zgodził się kandydować. Uważał, że pracca w egzekutywie KZ PZPR i Radzie Pracowniczej, ośluś dwójka dzieci, które trzeba odprowadzić do przedszkola, w wystarczający sposób rozwiązuje mu problem wolnego czasu. Nie żałuje jednak godzin poświęconych na organizowanie nowego związku, który był potrzebny — chociażby jako partner do współpracy z Radą Pracowniczą.

Zdzisław Dłużniewski słyszał oczywiście o zakładach, w których samorząd i związki zdążyły się już pokłócić, ale nie wyobrażał sobie takiej sytuacji w „Norbelanie”, gdzie każdy z członków Rady Pracowniczej i zarządu nowego związku pracuje przynajmniej od dziesięciu lat. On sam przeszedł tu, kiedy miał czternaście lat, nigdy nie chciał się przenieść do innego zakładu, bo — jak mówi — nie lubi często zmieniać barw kluczowych i dlatego w starym związku branżowym też był do końca. Ci zaś, którzy zaliczyli i branżowców, i „Solidarności”, są teraz często zniechęceni i boją się, że ktoś chce ich znowu wpuścić w

maliny, choć gdyby tak zalać im mieszkanie, albo podwyżkę, to na pewno powiedzieliby, że nowy związek dobrze działa.

4. NSZZ Pracowników ZPW im. N. Barlickiego w Łodzi liczy obecnie stu sześćdziesięciu osmiu członków, a cała załoga zakładu — ponad tysiąc osób. Około czterdziestu procent związkowców to emeryci, wśród pozostałych przeważają pracownicy z produkcji. W zarządzie zasiadają: przadka, ce-rowszka dwóch mistrzów, dwóch emerytów, portier, dwie laborantki i kierownik magazynu.

5. Wiesława Dłużniewska, przadka, ma 28 lat, a w „Norbelanie” pracuje od trzynastu lat. W związku branżowym i potem w „Solidarności” była szeregowym członkiem, a jedyną jej funkcją społeczną pełnioną przed wyborem na przewodniczącą była praca w egzekutywie oddziałowej organizacji PZPR.

Do nowego związku zapisała się jako dwudziesta trzecia w zakładzie. Liczy na to, że będzie umiała znaleźć wspólny język z ludźmi z produkcji, zresztą dalej pracuje w przedsiębiorstwie, ale jak liczba związkowców przekroczy trzytysiąc osób, zajmie się wyłącznie obowiązkami przewodniczącej.

6. Na to przyjdzie jednak trochę poczekać, wielu pracowników podchodzi jeszcze nieufnie do nowego związku, a oni dopiero zaczęli działać i na razie zajmują się tylko sprawami socjalnymi. Wprawdzie obecny na zebraniu dyrektor prosił już o pomoc w przekonywaniu ludzi do pracy w wolne soboty, ale jak średnia dniówka wynosi tysiąc trzytysiąt złotych, to jakiego nie trzeba przekonywać, bo i tak będzie komplet. Na razie zaś zdarza się slyszć i takie opinie: — Jestem partyjny, to partia mi pomoże, jest Rada Pracownicza — też może pomóc, po co więc płacić osiemdziesiąt złotych na związek?

7. Tylko, że — jak w zakładzie zaczyna się przemieszczenia — bo przecież zatrudnienie trzeba racjonalizować — to donie-rodnie będzie lament i pukanie do drzwi związkowych. Tego zresztą Wiesława Dłużniewska trochę się obawia, bo o ile z ludźmi z produkcji raczej się dogada, to nie wie czy starczy jej doświadczenia, żeby być dobrym rzecznikiem interesów pracowników administracji.

No, ale w ostateczności jest jeszcze przewodniczący — Czesław Tomaszewski — dawny przewodniczący branżowców, który od 28 lat pracuje w zakładzie, przeszedł wszystkie szczeble kariery zawodowej od przedziałnika do kierownika magazynu, a do czasu przemieszczenia zdążył wrócić z urlopu.

8. Konto dawnych związków podobno jest jeszcze zablokowane. W kasie NSZZ Pracowników ZPW im. N. Barlickiego jest więc na razie 9,548 zł i 20 groszy, a pierwsze składki wpłynęły dopiero pod koniec kwietnia. Jest już umebłowane pomieszczenie z telefonem, szafa pancerna i stara maszyna do pisania, oddzielona po którymś z dawnych związków. W najbliższym czasie ma się znaleźć jeszcze czajnik, żebym Grażyna Sochaczewska, pilnująca na co dzień związkowych interesów nie musiała biegać do innych pokoi po wodę na herbatę.

9. Grażyna Sochaczewska 19 lat temu została zatrudniona jako laborantka. Pracując ukończyła technikum włókiennicze, a później awansowała na asystenta laboratorium. Była w związku branżowym, jest członkiem Stowarzyszenia Włókienników Polskich, PCE, TPPR, przewodniczący komisji rewizyjnej w Lidze Kobiet Polskich i z wyjątkiem partii nie ma chyba organizacji zakładowej, w której by nie działała. W rowolanej na ogłoszeniu stanu wojennego komisji społecznej też się znalazła. Teraz jest jedynym pra-

cownicikiem oddelegowanym do stałego zajmowania się działalnością w związku, w którym pełni też funkcję skarbnika. Pani Sochaczewska wypłaca już sporo zasiłków statutowych, a teraz czekając na założenie konta — wybiera się do księgowości i działu finansowego, żeby się trochę podszkolić zanim zaczną wpływać składki.

Z tymi składkami też zresztą sprawa nie jest do końca jasna, bo emeryci wysłali pismo przez Klub Seniora, że ich składka powinna wynosić nie jeden tylko pół procent, a ci którzy pracują twierdzą, że skoro następuje regulacja starego portfela, to z jakiej racji ktoś ma mniej płacić. Na najbliższym zebraniu zanoszą się więc na niezłą dyskusję, a póki co — brakuje pieniędzy na weł na tradycyjne dopłaty do bileto-ów na przedstawienia teatralne. Bierze więc Grażyna Sochaczewska te bilety w komisji i stara się rozprowadzać. Niestety, kto musiał, to już w szkole objęła „Damy i panzy”, więc chętnych nie ma zbyt wielu, a Widzew bileto-ów na mecz w komisji nie odda-

10. Spośród czterech zastępców dyrektora dwoje zapisało się do związku. Sam raczelny, który wygrał konkurs i od początku roku kieruje „Norbelana”, nie zapisał się wprawdzie, ale — jak mówi — bardzo pozytywnie odniósł się do staraj grupy inicjatywnej. Zgodził się też na oddelegowanie jednej z pracownic, utrzymując jej dotychczasowe wynagrodzenie, chociaż gdyby chciał ściśle trzymać się przepisów, musiałby poczekać, że do związku zapisałoby się dwadzieścia pięć osób. Oczywiście, związek po uzyskaniu stabilności finansowej powinien zwrócić przedsiębiorstwu koszty wypłacania pensji Grażynie Sochaczewskiej, ale może da się odstąpić od tego warunku. Zresztą już na początku marca w banku została odblokowana fundusze branżowców i „Solidarności” — w sumie ponad pół miliona złotych — więc gdyby nowy

związek miał konto, to mógłby z nich korzystać. Kto wiedział o tej możliwości? Czesław Tomaszewski wiedział, ale on teraz jest na urlopie.

11. Marian Tomaszewski, nastawiacz maszyn, od dwudziestu lat związany z zakładem, do końca nie opuścił dawnego związku branżowego, chociaż z wieloma sprawami się nie zgadza. Nie wszedł też do grupy inicjatywnej, bo skoro był tam jego brat, Czesław, to ludzie mogliby powiedzieć, że klika. Teraz jako szeregowy związkowiec uważa, że nie będą mogli prawidłowo pracować, jeżeli przewodnicząca nie zostanie na stałe oddelegowana do pełnienia swych obowiązków. Przewodniczącego powinien znać cały zakład, a nie tylko jeden wydział czy zmiana.

Marian Tomaszewski wie, że wielu pracowników przedsiębiorstwa nie chce nigdzie należeć, aby nie angażować się po żadnej stronie, ale właśnie dlatego oni, związkowcy muszą iść do ludzi, a jak ma to robić z jednym etatowym pracownikiem i przewodniczącą, która po prostu nie ma czasu na to, żeby spokojnie przejrzyć podstawowe przepisy, zorientować się, jakie są problemy w całym zakładzie. Dawniej związki miały zarząd na etacie, a jego przedłużeniem na wydziałach byli mezo-wole zaufania u branżowców, a grupowi w „Solidarności”.

Teraz należałoby wchodzić z zebraniem do sal produkcyjnych, a on nawet nie wie, kto zapisał się do związku, zaś przewodnicząca musi stać przy maszynie. Kto ma znaleźć czas na stałe kontakty z Radą Pracowniczą, dyrektora, organizację partyni, kto wie na czym maja polegać przedmioty, w sprawie których związek ma się wypowiedzieć? Marian Tomaszewski obawia się trochę, by cała ta działalność nie skończyła się na powołaniu organizacji o długiej i ładnie brzmiącej nazwie.

JULIAN CIESONIK

Propozycja „Odgłosów”: Pytanie do specjalisty

Każdy z nas ma jakieś pytanie, na które nie potrafi sam odpowiedzieć. Nie potrafią też na to pytanie odpowiedzieć nasi najbliżsi — znajomi, koledzy, przyjaciele. Są to często pytania i wątpliwości wymagające pomocy specjalisty: prawnika.

ekonomisty, socjologa, ludzi zajmujących się różnymi dziedzinami życia społecznego, gospodarczego, kulturalnego. Stąd nasza propozycja. Chcemy pośredniczyć między naszymi Czytelnikami a tymi, którzy mogą wyjaśnić ich wątpliwości i odpowiedzieć

na pytania. Piszcie do nas, zgłaszając wasze pytania i wątpliwości. Proponujemy tematy, które wymagają wyjaśnienia prawnika, ekonomisty, socjologa bądź specjalistów innych dziedzin nauki. Dziś publikujemy artykuł Jolanty Wrońskiej, która podjęła się trudnej

sprawy pośredniczenia między Stanisławem B. a prawnikami. Temat alimenty, ich wysokość, kompetencje sądu. Mamy nadzieję, że temat ten zainteresuje wielu Czytelników. Czekamy na listy z pytaniami, propozycjami, wątpliwościami.

Takie pytanie zadał nam czytelnik z Piotrkowa. Nazwijmy go Stanisław B. (imię, nazwisko i adres tylko do wiadomości redakcji, choć autor sobie tego nie zastrzegł). Drukujemy list z minimalnymi skrótami:

„Okolo 18 lat temu moja była żona, po rozpadnięciu się małżeństwa i uzyskaniu rozwodu, otrzymała alimenty na rzecz dziecka, Aldony, w 1964 r. w sumie 500 zł miesięcznie. Rozwód uzyskałam na mój wniosek, gdyż żona nadużywała alkoholu. Niech mi będzie wolno zacytować jeden fragment jej wypowiedzi: „Jak chcesz ze mną spać, to płac mi za jedną noc 100 zł. Gdy prześpię się z obcym mężczyzną, to zarobię 200 zł, postawię pół litra wódki i jeszcze kupię czekoladę”.

Ja żonie pobory oddawałam solidnie. Pracowałam i pracuję do chwili obecnej. Nie próbowałam wykręcać się od pracy i płacenia alimentów.

Kilka lat temu moja żona wniosła do sądu pozew o podwyższenie alimentów do sumy 1200 zł. Ta suma nie była dla mnie zbyt dogodna, gdyż zarabiałam ok. 3 tys. zł miesięcznie brutto. Z tego za komorne płaciłam 800 zł. Nie trzeba długo liczyć, że na wyżywienie, ubranie, lekarstwa i w ogóle na wszystko zostawało mi ok. 1000 zł netto. Ale to jeszcze nie koniec.

We wrześniu 1982 r. powódka wniosła pozew do sądu o ponowne podwyższenie alimentów do sumy 2.500 zł. I w tym przypadku sąd przychylił się do żądań powódki. Moje zarobki wynosiły wówczas 6.100 zł na miesiąc (zaświadczenie o wysokości zarobków jest w aktach sądowych). Powódka żądała swoje motywowała trudnymi warunkami finansowymi. Tym, że dziecko jest już duże (dochodzi 19 lat), a odzież i żywność jest dla niej droga. Poza tym, że ma też na utrzymaniu dziecko pozamałżeńskie w wieku 17 lat oraz dziecko w wieku ok. 10 lat z powtórnego małżeństwa. Wyjaśniła, że mając trójkę dzieci nie może pracować. Wychowuje je i prowadzi dom. Obecny małżonek powódki zarabia 10 tys. zł miesięcznie bez rekompensat i zasiłków rodzinnych. Muszę też wyjaśnić, że moje dziecko, mając 19 lat nie wymaga takiej opieki, żeby matka nie mogła pracować. Pozostałe dzieci do mojej sprawy nie powinny wchodzić w rachubę. Po prostu jej nie opłaca się pracować w obecnych czasach. Na dziecko pozamałżeńskie nikt nie płaci alimentów, dlatego, że nie wie z kim je ma.

Z moich poborów obecnych 6.100 zł brutto mam ok. 5.800 zł netto. Z tej kwoty odliczam alimenty 2.568 zł. Za komorne, gaz, prąd, telewizor odchodzą 1.116 zł. Pozostaje mi netto na wszystko 2.124 zł plus 1500 zł rekompensaty, ogółem 3.624 zł na miesiąc.

Ja nie założę powtórnego rodziny, nie prowadzę własnej kuchni. Żywię się w najtańszej restauracji. Powiedzą, że będę spożywał średnio 30 najtańszych obiadów miesięcznie. Kotlet mielony z kapustą i ziemniakami kosztuje tylko 66 zł, a zalewajka 51 zł. A więc łatwy rachunek. Za same skromne obiady trzeba zapłacić 3.510 zł. Zostaje mi na kolację, śniadania, odzież, buty, zylетки, mydło, lekarstwa itp. kwota... 114 zł na miesiąc. Zachodzi pytanie, jak ja się utrzymuję przy życiu? Po prostu muszę się zadowolić talerzem zupy lub bułką i litrem mleka na cały dzień. Faktem jest, że prowadząc własną kuchnię na kilka osób rachunek ekonomiczny ułoży się inaczej. W moim przypadku jest to niemożliwe. Ostatnio podróżowały koleje, autobusy, alkohol, kawa i jeszcze ma podrożeć prąd, gaz i komorne.

Tylko patrzeć, gdy niebawem zaproszony będę do sądu, ażeby dowiedzieć się o ponownej podwyżce alimentów. Do jakiej sumy — nie wiadomo, ale chyba o 100 proc i będzie to 5.000 zł. Tutaj trzeba dodać, że moje zarobki już nie wzrosną.

Osobna sprawa to opłata kosztów sądowych. Nie mogę zrozumieć dlaczego ja płacę za sprawę w ogóle, a przynajmniej nie 50 proc. Sądzą, że dlatego, gdyż powódka wygrywa sprawę. Taki jest przepis. Ale przepis to niezyciowość. Nie rozumiem, dlaczego rozprawa odbywa się przed Sądem dla Nieletnich. Bądź co bądź moja córka, mając 19 lat, jest już pełnoletnia. Za ostatnią podwyżkę alimentów mam zapłacić 1.110 zł kosztów. Napisałam podanie do sądu o rozłożenie tej kwoty na raty. Rozłożono tylko na dwie raty, a to mnie nie ratuje. Nie wiem jak ja tę przekleśniętą sumę zapłacić. Chyba przyjdzie komornik i ostempluje stary, popluty telewizor.

Teraz kilka słów o mnie. W dniu wybuchu II wojny światowej liczyłem równo 3 miesiące. Wychowałem się, z powodu wojny, w ogóle bez mleka. Z tego okresu pozostała mi krzywica klatki piersiowej. Często choruję, mam niewydolność płuc, cierpię też na bóle stawów kolanowych. Przez ostatnie 16 lat mieszkam po prostu „pod mostem”. Obecnie bywa tak, że nie spożywam podstawowych posiłków przez dwa-trzy dni. Wiem natomiast, że moja była żona, Barbara Z., odgraża się: „Ja mu pokazę, ja go nauczę, że z głodu zdechnie”.

Jak do tej pory wszystko się zgadza. Jeszcze

wprawdzie „nie zdechłem”, ale to może się spełnić. Zapowiada mi ponowną podwyżkę alimentów. Wiadomo, apetyt rośnie w miarę jedzenia. I dostanie podwyżkę. Ostatecznie z kieszeni sędziny to nie idzie. Niezrozumiałe jest dla mnie to, że sędzina miała dopiero z 18 lat, był jakimś nierobem, a do tego nie płacił alimentów z 10 lat. Wydaje mi się, że sędzina nie powinna do jednej strony podchodzić złośliwie, o z korzyścią dla drugiej. Należy chyba w takich wypadkach pamiętać, że gdy coś drożeje, to dla wszystkich, a nie tylko dla powódki. Płacący alimenty to też człowiek, a nie „czarna owca”. Obecnie moja córka otrzymuje 2.500 alimentów, od drugiego rodzica należy się ta sama suma. Ogółem z rekompensat i zasiłkami rodzinnymi dysponuje ona kwotą ponad 6.200 zł. Ja natomiast muszę się zadowolić kwotą 3.624 zł z rekompensat, bądź co bądź ciężko pracując. Praca za kierownicą ciężarów-

(artykuł 192 KPC). Artykuł 11, par. 1, pkt 2. uściślają, iż nie ma obowiązku uiszczenia kosztów sądowych strona dochodząca roszczeń alimentacyjnych.

Artykuł 113, par. 1 w skrócie: zwolnienia od kosztów sądowych domagać się może osoba fizyczna. Konieczne jest jednak przedstawienie zaświadczenia organu administracji państwowej, że strona nie jest w stanie ponieść kosztów sądowych bez uszczerbku dla utrzymania siebie i rodziny. Zaświadczenie musi obejmować dokładne dane o stanie rodzinnym i majątkowym i zarobkach. Od sądu należy uzyskać tego zaświadczenia za dostateczne do zwolnienia od kosztów sądowych. Artykuł 114, par. 1 mówi, że wniosek o zwolnienie od kosztów sądowych należy złożyć pisemnie lub ustnie do protokołu w sądzie, w którym sprawa się toczy lub ma być wytoczona.

2. Sprawa zasadnicza w liście Stanisława B. jest wysokość orzeczonych alimentów oraz sy-

spraw z zakresu prawa rodzinnego. Nosi on nazwę Wydział III Rodzinny i Spraw Nieletnich.

Przepisy Kodeksu Rodzinnego i Opiekuńczego stanowią co następuje:

Rodzice mają obowiązek jożenia na utrzymanie wspólnego dziecka w równym wymiarze. Sąd może jednak zwolnić jedną ze stron od świadczeń pieniężnych, jeśli ta nie jest w stanie im podobać, w zamian za to dając dziecku pozostającemu pod jej opieką utrzymanie w formie naturalnej. Występowanie o podwyższenie alimentów jest uzasadnione wzrostem kosztów utrzymania i potrzeb dziecka. Wykonawcze przepisy Kodeksu Pracy mówią, że obciążenie alimentacyjne może wynosić do 3/5 wysokości zarobków. Tak więc początkowo ustalona wysokość świadczeń czytelnika na 1.200 zł od zarobku 3.000 zł nie stanowi owej górnej granicy (3/5 = 1.800 zł). Aktualne zarobki Stanisława B. wynoszą, według danych zakładu pracy, 9.000 zł — 3/5 tej kwoty wynosi 5.400 zł. I taka może być maksymalna wysokość alimentów. Sąd zaś ustalił alimenty na poziomie 2.500 zł.

Ponadto trzeba podkreślić, że Kodeks Rodziny i Opiekuńczy w pierwszym rzędzie broni praw dziecka, któremu oboje rodzice obowiązani są zapewnić godziwe warunki bytowe. Artykuł 135, par. 1 KRO mówi:

„Zakres świadczeń alimentacyjnych zależy od usprawiedliwionych potrzeb uprawnionego oraz od zarobkowych i majątkowych możliwości zobowiązanego”.

Sąd może uznać, że dziesięć kosztów utrzymania dziecka wynoszą 5.000 zł miesięcznie, co daje sumę 2.500 zł orzeczonych świadczeń płatnych przez jedną ze stron. Wniesienie rewizji od wyroku przysługuje w terminie do 10 dni od orzeczenia. Stanisław B. nie skorzystał z tej możliwości.

4. W tym konkretnym przypadku stronami w procesie są nie byli małżonkowie, lecz ojciec i córka, będąca już osobą pełnoletnią. Jednakże, jeśli dziecko nie jest jeszcze w stanie samodzielnie się utrzymać (kontynuacja nauki, stan zdrowia, inne ważne okoliczności), obowiązek alimentacji trwa nadal. W razie podjęcia przez dziecko studiów wyższych, obowiązek ten trwa do 24 roku życia, o ile pobierający alimenty nie zręcznie się pobieranych świadczeń dobrowolnie, wnosząc pozew do sądu w tej sprawie.

Obowiązek alimentacji wygasnąć może w dwóch wypadkach: jeśli córka, po ukończeniu szkoły średniej podejmie pracę zarobkową i wystąpi o zrzeczenie się alimentów ze strony ojca, bądź jeśli alimentujący wystąpi o uchylenie świadczeń (udowadniając, iż pełnoletnie dziecko świadomie uchylił się od podjęcia pracy i nie istnieje uzasadnienie o niemożności podjęcia tejże).

5. Rostrzygającą kwestią w sprawach alimentacyjnych jest interes i uzasadnione potrzeby dziecka. Można więc powiedzieć, że w konflikcie dorosłych dziecko nie może tracić i trzeba ponieść konsekwencje prawne i materialne wynikające z samego faktu rodzicielstwa.

6. Sprawa przedstawiona w liście Stanisława B. ma znaczenie nie tylko dla jednej osoby i tylko tej konkretnej sytuacji. Jest ona sygnałem znacznie szerszego zjawiska dotyczącego prawnej regulacji stosunków między ludźmi w sferze ich życia prywatnego. Kodeks Cywilny oraz Rodzinny i Opiekuńczy (a także Kodeks Karny, gdy chodzi o zagrożenie zdrowia, życia, majątku osobistego itd.) normują wielki zakres naszego życia. Funkcjonowanie norm prawnych w świadomości jednostki i zbiorowości społecznej, podporządkowanie się obowiązującym zasadom współżycia społecznego, poszanowanie prawa stanowią to, co nazywamy ogólną kulturą prawną społeczeństwa. O jej poziomie wiele mogą powiedzieć prawnicy występujący w procesach cywilnych. Nie jest to jedynie kwestia zapobiegania i zwalczania patologii społecznej. To, jak żyjemy, jak dalece przestrzegamy na co dzień zasad prawa, decyduje o jakości naszego życia. O poczuciu — lub jego braku — bezpieczeństwa i sprawiedliwości.

Co mam zrobić?

JOLANTA WROŃSKA

ki nie należy do lekkich. Jak tu mówić o sprawiedliwym wyroku?

Moim zdaniem alimenty powinny się ustalać procentowo od danych zarobków. Nie byłoby sprawy o podwyżki. Zakład pracy przesyłałby odpowiedni procent od danych zarobków. Nie byłoby poszkodowanych. Styszałem, że to ma nastąpić, ale kiedy? Miałem się o minimum socjalnym. Weźmy pod uwagę renty i emerytury. Posiadacze najniższych rent i emerytur biorą 6.000-7.000 złotych i głoszą krzyżącą, że nie mogą wyjść. Obecnie styszałem w tele-wizji, że przeciętne emerytury mogą wzrosnąć do ponad 14.000 zł. Moja sytuacja jest bez porównania tragiczna i bez wyjścia. Zachodzi pytanie, co teraz mam zamiar zrobić. W tych dniach napiszę do PKPS o miesięczną zapomogę 1.500 zł. Gdy jej nie otrzymam (a sądzę, że na pewno nie) zwolnię się z pracy i niech mnie wsadzą do więzienia za nieplacenie alimentów. W każdym razie to bardziej humanitarne niż spowodowanie wypadku drogowego na skutek wyczerpania fizycznego. Poza tym innego wyjścia z sytuacji nie widzę.

Żeby było bardziej okrutnie, trzeba dodać, że pozew do sądu powódka wniosła 14 września 1982 r. Rozprawa odbyła się w listopadzie 1982 roku i właśnie od września strąca mi się różnica do kwoty 2.568 zł. Za grudzień 82 r. potrącono mi 2.568 zł plus 2.087 zł. Razem kwota — 4.655 zł. Za styczeń także potrącono mi prawie 4.700 zł. Chyba nie trzeba pisać, że zostało mi tylko na opłacenie komornego. Nikt się tym nie przejmując. Ale przepisy! Przepisy powinny być w miarę sprawiedliwe”.

Stanisław B.

List Stanisława B. postanowiliśmy przedstawić prawnikom, by odpowiedzieli naszym czytelnikowi na postawione nam pytania i na wysunięte zarzuty pod adresem sprawiedliwości. Oczywiście postaraliśmy się także o sprawdzenie wszystkich towarzyszących sprawie okoliczności tak, by udzielić odpowiedzi w sposób rzetelny i wyczerpujący. Rzeczą zaś przedstawić się, jak następuje.

1. Powód, dla którego nasz czytelnik wystąpił o rozwód nie ma żadnego związku z orzeczeniem o wysokości alimentów dla dziecka urodzonego z tego małżeństwa. Jego obowiązki alimentacyjne odnosią się wyłącznie do wspólnego dziecka. Istnienie innych dzieci w drugiej rodzinie byłej żony nie ma żadnego związku ze sprawą. Fakt „nagannego prowadzenia się” byłej żony — jak to określa nasz czytelnik — nie może być brany pod uwagę przez sąd orzekający o wysokości alimentów.

Zarzut postawiony byłej żonie, że „nie opłaca jej się pracować w obecnych czasach”, i że „zostania się sprawowaniem opieki nad dziećmi, by nie podejmować pracy zarobkowej” nie ma uzasadnienia. Warunki materialne byłej żony, powtórnie żamejnej, i pozostającej z drugim mężem i dziećmi we wspólnym gospodarstwie domowym nie stanowią podstawy do orzekania o wysokości alimentów jednego z rodziców.

Następnie wymaga wyjaśnienia sprawa kosztów sądowych. W myśl art. 98 par. 1 Kodeksu Postępowania Cywilnego (Tytuł V, Dział I) strona przegrująca sprawę zobowiązana jest zwrócić przeciwnikowi na jego żądanie koszty niezbędne do celowego dochodzenia praw i celowej obrony (koszty procesu). Tylko w wypadkach szczególnie uzasadnionych sąd może zasądzić od strony przegrującej tylko część kosztów, albo nie obciążać jej kosztami wcale

tuacja materialna płatcego alimenty. Przedstawione w liście fakty zawierają pewne nieścisłości.

Po pierwsze — Stanisław B. rzeczywiście przez wiele lat nie posiadał własnego mieszkania, jednak od około 2 lat posiada samodzielne mieszkanie spółdzielcze. Pozwany przedstawił sądowi zaświadczenie o zarobkach w swym zakładzie transporowym, gdzie jest kierowcą. Jego stałe zarobki (dane od lipca 1982) wahały się w granicach 9.000 zł (w tym rekompensata 1.660 zł). Od tej też wysokości zarobków sąd ustalił alimenty. W ich wymiar nie wlicza się żadnych premii i dodatków. Podstawą jest „czysta stawka”. Stanisław B. nie uwzględnił stałej premii miesięcznej w granicach 10-15 proc. oraz faktu, że w okresie sezonowym prowadzonej akcji zimowej na drogach personel pracuje systemem 12 godzin na 12 godzin, zaś za pracę w godzinach nadliczbowych, nocę, dni świąteczne i wolne soboty otrzymuje się dodatkowe wynagrodzenie. W sezonie drogowym od grudnia do lutego (tzw. akcja zima) zarobki jego wynosiły około 16.000 zł miesięcznie. Ponadto przy ustalaniu wysokości alimentów sąd nie bierze pod uwagę obciążeń finansowych płatcego alimenty, wynikających z jego dobrowolnie zawartych zobowiązań (raty, spłaty kredytów, dług). Praktyka orzecznictwa w sprawach o alimenty wskazuje na liczne przypadki umyślnego podejmowania nisko płatnej pracy dla zmniejszenia obciążeń alimentacyjnych, ukrywania dodatkowych źródeł dochodu, bądź w ogóle uchylenia się od pracy zarobkowej. Wcale częściej są też przypadki rewizji od wysokości orzeczonych alimentów na dziecko, motywowanych licznymi obciążeniami alimentującego, typu — spłata rat za mieszkanie czy samochód. Tego rodzaju płatności stanowią prywatną sprawę alimentującego i nie mogą decydować o uszczerbku interesów dziecka.

Po drugie — stan zdrowia naszego czytelnika może stanowić okoliczność ważącą w sądzie, o ile koszty ponoszone z tytułu leczenia uniemożliwiają podwyższenie alimentów bez poważnej szkody w sytuacji materialnej alimentodawcy. Stanisław B. powinien zwrócić się do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych o uznanie częściowej utraty zdrowia, a stąd — uzyskanie możliwości zarobkowania (co pozwoliłoby ubiegać się o rentę inwalidzką). Zwrócenie się z prośbą o zapomogę do PKPS nie ma uzasadnienia, taka bowiem pomoc nie przysługuje osobom zatrudnionym w gospodarce społecznej. Bardziej właściwa jest tutaj komisja socjalna macierzystego zakładu pracy.

Po trzecie — jak pisze Stanisław B. jeśli nie prowadzi on własnej kuchni, stołując się w takich restauracjach, jak wobec tego wykorzystuje swoje kartki żywnościowe? Tej wątpliwości nie umiemy wyjaśnić.

Po czwarte — o zarzutach pod adresem kwalifikacji i wieku sędziny nie wypowiadamy się.

3. Dochodzimy wreszcie do sprawy najistotniejszej. Stanisław B. uważa zasądzone alimenty za rujnujące go oraz powątpiewa w prawomocność alimentowania pełnoletniej córki.

Wyjasnimy więc go kole.

Sprawy tej nie rozpatruje Sąd dla Nieletnich. Do 1977 roku istniał ogólny podział w sądach na wydział karny i cywilny. Ten ostatni miał w swej gestii także sprawy dotyczące prawa rodzinnego, opiekuńczego i sprawy nieletnich. Od 1977 roku wyodrębniono osobny wydział dla

Dokończenie ze strony 1

go domu. Wśród obrazów oblatujących ściany pokoi na piętrze — portrety przodków. Przenikająca rozmowa obecność pięciu pokoleń Bacciarellich: malarzy, żołnierzy napoleońskich, powstańców — polskich patriotów wywodzących się od słynnego Włocha i jego żony, Niemki. Temat na odrębną opowieść, listnięty zaledwie przez Olgierda Budrewicza, w jego „Sagach warszawskich”.

Na parterze czasem daje się jeszcze wyczuć w powietrzu zapach lekarstw, mimo że w starym zajazdzie od paru lat nie ma już apteki. Ten zapach jest również częścią rodzinnej tradycji, tyle że mniej efektowną, więc jakby cichszą, przytłoczoną wielkością tamtejszej.

Ojciec Jerzego, Władysław Dunin-Borkowski był najmłodszym dzieckiem sędziego z Wileńszczyzny, w jego żyłach też płynęła krew oficera napoleońskiego, który towarzyszył cesarzowi na Elbie. Wykształcenie otrzymał na miarę możliwości — sześć klas gimnazjum (tyle było trzeba, aby zostać aptekarzem) — ale nie aspiracji, które potem zaprowadziły go na uniwersytet. Z czasem dorobił się dwóch aptek (w Krośniewicach i Dąbrowicach) oraz składu aptecznego. W 1925 roku kupił stary zajazd przy krośniewickim rynku, po latach zamieniony przez starszego syna na muzeum.

Zaczęło się od monet. Na początku nie robiło mi różnicy co to za moneta — wystarczyło, że była stara, że ten krążek metalu był świadkiem dawnych zdarzeń. Nieraz wyobrażałem sobie — na przykład ten talar Jana Kazimierza — przez ile on ręk musiał przejść, ile razy był on może jako okup dawany, może był przyczyną morderstwa.

W wieku dziesięciu lat byłem już zbieraczem par excellence. Zebrałem około tysiąca monet, pięćdziesiąt książek historycznych, miałem też już pierwsze dokumenty. Pamiętam je... O, choćby ten! Jest to nota, w której książę Józef Poniatowski zwraca się z ostrymi uwagami do ministra spraw wewnętrznych Księstwa Warszawskiego, na ręce którego skierował zamówienie na osiem tysięcy — jak się to wtedy mówiło — trzewików dla wojska. Trzewiki zostały dostarczone, ale nie według wymagań. Trochę to przypomina dzisiejsze czasy.

Ten dokument kupił mi ojciec za 20 czy 25 złotych. Przed wojną była to spora suma, ale ojciec stać było na to. Naciągałem go zresztą na takie prezenty, kiedy się tylko dało. Szliśmy wtedy na Świętokrzyską.

„Była to w swoim rodzaju jedyna ulica w Warszawie — pisze we wspomnieniowej „Książce dla Marcina” Jerzy Andrzejewski — ulica pozłokich, zakurzonych książek, starych szychów i grawur, makat, najdawniejszych cybuchów i fajek, szermiowych monet, tróramiennych menor z orłami, staroświeckich szabl i szyletów, dzbanków i kubków kutych w miedzi, figurek z porcelany, ruskich ikon, naczyń cynowych i anielskich fajansów. Książek było najwięcej. W każdej niemal kamienicy, w mrocznych wnękach zastawionych półkami sięgającymi aż po sufity, gnieździły się żydowskie antykwariaty”.

WARSZAWSKIE CZASY

Świętokrzyska od Marszałkowskiej do Nowego Świata — świat, którego już nie ma, unicestwiony na zawsze przez hitlerowców, świat niezwykłych skarbów i zwykłych śmieci, eldorado zbieraczy staroci wszelkiego rodzaju. Dla przybysza z prowincji uozna stołecznego Gimnazjum im. A. Mickiewicza (dawny Konopczyńskiego) był prawdziwą szkołą kolekcjonerstwa. Tam karmił swe marzenia, tam opróżniał kieszenie z każdego zaoszczędzonego grosza, uczył się oddzielać ziarno od plew. Nauczyciele — Kleinsinger, Zalcztajn, Fiszler i inni — szybko dostrzegli w nim pojętnego ucznia, który — jeśli było trzeba — potrafił nawet zastąpić ich na godzinke w prowadzeniu interesu. Musteli chyba mieć do niego zaufanie i szacunek, skoro np. stary Szyja Salstein, którego przodkowie trudnili się antykwaryatem od 1780 roku, zamknięty już w getcie, pisał jeszcze na wyrwany z zeszytu kartkach: „Szanowny Panie Borkowski, mam dla Pana mezałną rzecz...”. W ostatnim swym liście oferował medal wybity przez gdańszczyzan na cześć króla Władysława IV z okazji jego zaślubin. Dostał za niego kilka złotych rubli. Potem przez mur Jerzy Dunin-Borkowski ślął mu kaszę, mąkę, ryż, które po tamtej stronie z dnia na dzień cenniejsze stawały się od ziota.

— Pamiętam też jak z kolegą, Zbyskiem Ciesielskim, który jako jedyny w naszej klasie miał podobne zainteresowania, chodziliśmy wspólnie do księgarni „Swiatło”, gdzie cała piwnica zawalona była starymi książkami. Musieliśmy pokazać, że mamy pieniądze, a wtedy sprzedawcy wpuszczali nas po drabinie do tej piwnicy, zamykali i pozwalali grzebać w książkach, do woli. Płaciłszy po złotówce, po dwa złote za sztukę, a były tam i — uwierz pan? — rzeczy z XVI wieku.

— A pamięta pan Gustawa Soubier-Bisiera? — O, tak! To był wtedy król warszawskich kolekcjonerów. Mieszkał na Krakowskim Przedmieściu, tuż obok uniwersytetu. Przeszedłem akurat z klasy wstępnej kutnowskiego gimnazjum do Warszawy z dojrzymi ocenami i ojciec zabrał mnie do niego. Opowiadał Bisierowi jaki to że mnie dziewięcioletni kolekcjoner, a on głaskał mnie po głowie. To był dla mnie niezwykły dzień. Chodziłem po tych patacowych salach, oglądałem obrazy, meble, naczynia, monety i cudnie, że jestem w raju.

Wie pan, miałem szczęście. Wszystko mi sprzyjało... Oczywiście były i dramaty, kiedy na przykład w czasie Powstania Warszawskiego przepadał mi dziesięć dziesiątych moich zbiorów, ale mimo wszystko mogę powiedzieć, że życie kolekcjonera mi się udało.

Jeszcze jako uczeń zawarłem bliższe znajomości z tapicerami i ramiarzami. Cóż to były za okazje!... Jak ludzie przynosili stare ramy do sprzedania, to nieraz w tych ramach trafiał się i obraz. Tylko na to czekałem. Dla ramiarza obraz był nieważny, więc od razu kupowałem go — bywało — za tyle, ile on dał za ramę.

Westchnienie. Chwila ciszy opłatanej delikatną pajęczyną tykających stojących zegarów — jakby czas zapadł się w sobie.

Jerzy Dunin-Borkowski znów jest w przedwojennej Warszawie. Właśnie zdobył rzadką monetę i niesie pokazać ją kierownikowi

działu numizmatycznego w Muzeum Narodowym, Stefańskiemu, który potwierdził jej autentyczność. Staruszek jak zwykle siedzi nad herbata, dmi papierosa. Krótka rozmowa... Nagle wstaje i wychodzi zostawiając nieznanego mu jeszcze wtedy bliżej studenta Szkoły Głównej Handlowej (obecny SGPiS) sam na sam z otwartą szufladą, w której blyszczy kilkadziesiąt złotych dukatów. Wystarczy wyciągnąć rękę, jeden szybki ruch... Nikt przecież nie zauważył, nie doliczył się od razu... Kiedyś na zebraniu Towarzystwa Numizmatycznego jeden z jego członków przyniósł pokazać kolegom swój najnowszy nabytek, moneta przechodziła z rąk do rąk... nie dotarła już do właściciela; nikt się nie przyznał, a podobno najbardziej podejrzany był

Aptekarz z Krośniewic miał szczęście

wiceprezes Sądu Najwyższego, Don Vincente, księgarz z Barcelony, dla zdobycia rzadkich książek mordował ich właścicieli. Po paru minutach Stefański wraca. Co za ugi! Nic się nie stało.

WOJNA I OKUPACJA

Jesień 1939 roku. Powrót z wojny do Warszawy i — od razu na Świętokrzyską, a tam wszystko porobiane, zniszczone, zajęte przez Niemców...

1 sierpnia 1944 roku, popołudnie. Mokotów. Za późno, aby zdążyć na zbiorke oddziału w okolicy Powązek. W rękę teczką z dwoma kilogramami cukru w kostkach dla dzieci i paroma egzemplarzami pierwszego wydania poezji Jana Kochanowskiego. Na ulicach strzelanina. Punkt opatrunkowy.

— A po teckę wrócę jutro. — Następnego dnia nie ma już ani teckki, ani punktu opatrunkowego, ani domu.

Cisze przerywa kukułka.

— O czym to mówiliśmy?

— Ze miał pan szczęście...

— No, więc teraz opowiem panu mniej przyjemne zdarzenie. Był taki okres w czasie okupacji, gdy — jak to się mówi — dosiadłem konia. Będąc w AK, wozilem do Wilna i z powrotem tajne dokumenty, a że miałem tam znajomych, którzy zajmowali się handlem na dużą skalę, doszedłem z nimi do porozumienia i zacząłem dostarczać do Warszawy hurtowo kawę i herbatę, której pełno było w litewskich magazynach. Szybko doszedłem do wielkich pieniędzy. Czasy były takie, że ludzie sprzedawali różne stare rzeczy, żeby mieć na żywność, więc kupowałem wtedy fantastyczne antyki. Ale trwało to krótko, bo Niemcy mnie złapali, skonfiskowali cały towar, a że interes był nielegalny, musiałem się jeszcze stono okupić.

OBRAZ Z SYBERYJSKĄ HISTORIĄ

Otóż, gdy mi się tak dobrze wiodło, ludzie sami do mnie przychodzili, proponując antyki. Któregoś dnia odwiedził mnie ukrywający się rotmistrz szandarmierii — bardzo sympatyczny człowiek, tyle że, niestety, alkoholik. Pytam, czy nie ma czegoś starego do sprzedania, mówię, że szczególnie interesuję mnie obrazy Bacciarellego, bo to mój przodek... A on pomysł chwilię i mówi, że ma Bacciarellego, jutro przyniesie. Chciał za niego dwa czy trzy tysiące. Dalek mi chyba nawet więcej, zadzwoniłem, że tak mi się udało. Kiedy wyszedł, postawiłem obraz na tapczynie i aparatem o ścianę (tak, jak stoi tu teraz ten otarzony ryceński), żeby się nim nacieszył. Mijają chyba za dwa dni — gwałtowny dzwonek do drzwi. Otwieram, widzę — stoi elegancko ubrany mężczyzna, pyta: — Czy pan Borkowski? — Tak. — Wszedł do pokoju, rozejrzał się i mówi ostro: — Proszę pana, to jest mój obraz, został skradziony, wiem od kogo pan go kupił i ile pan zapłacił. Proszę o jego zwrot! — Wyjął portfel, włożył pieniądze... Bez słowa zacząłem pakować obraz, żal mi było... I on to chyba zauważył, bo usiadł i już po przyjacielsku odezwał się: — Nie tylko panu, ale i mnie jest przykro. — Nie tylko panu, ale i mnie jest przykro, że kupił pan kradziony obraz, nie wiedząc o tym. Ten rotmistrz, to mój kuzyn... Wie pan, gdyby chodziło o inną rzecz, to może nie dochodziłbym tak swego, może jakoś załatwilibyśmy się ugodowo, ale niech pan posłucha i postara się mnie zrozumieć. Mój dziadek piastował w Powstaniu 1863 roku jakieś cywilne stanowisko i po upadku powstania Moskale przysłali mi nakaz syzki. Wojskownicy pedzili na Sybir bez żadnej łitości, ale dziadkowi, jako że był cywilem, pozwolili nawet zabrać ze sobą osobiste rzeczy. No i dziadek zabrał między innymi portret swojej prababki, namalowany przez Bacciarellego. Na Syberii osiadł w miejscowości, gdzie było sporo Polaków, a że nie było tam kościoła, zbudowali kaplicę. Nie mieli tylko wizerunku Matki Boskiej, powiesili więc portret prababki i do niego się modlili. Potem dziadek, kiedy wracał z zesłania, zabrał obraz z powrotem... Już pan chyba rozumie, dlaczego nie mogę go panu sprzedać?

We wojnie miałem osiemnaście Bacciarellich. Większość przepadła w czasie Powstania Warszawskiego i teraz mam tylko osiem. Tego na przykład kupilem już po wojnie od pewnej starszej pani, arystokratki. Podano mi jej adres, poszedłem i jak zobaczyłem — oniemiałem! Onufry Kieki, szambelan króla — jeden z najpiękniejszych portretów Bacciarellego, wisiał kiedyś nawet w Łazienkach. Na razie nie pytam o cenę, bo czuję, że potrzebna będzie grubsza forsza, a zarabiałem wtedy tysiąc złotych miesięcznie, więc tak sobie przyjemnie rozmarzyliśmy o tym i o innym...

Bo muszę panu powiedzieć, że każdy kolekcjoner jak chce coś bardzo kupić, to zachowuje się jak kameleon — nawet bardzo niesympatyczny potrafi zmienić się w promiennego uprzejmością i sympatią, że sam się potem dziwi, skąd mu to się bierze.

No, ale chyba po godzinie pytam wreszcie o cenę. — Wyceniono mi go na dwanaście tysięcy siedemset — mówi ta pani. Ja nie podtrzymuję tematu, dalej wiodę ją swoją elokwencją, dopiero przy wyjściu mówię, że teraz nie mam, niestety, takiej sumy, ale — niech mi pani obieca, że na razie nikomu tego obrazu nie sprzeda. — Pan taki miły — ona na to — że dla pana opuszczę tysiąc złotych. Za dwa tygodnie znów ją odwiedzam i przy wyjściu znów ta sama historia: — Dla pana będzie o tysiąc mniej, I tak dojechaliśmy do sześciu tysięcy siedemset. Oczywiście nie miałem nawet tyle, ale nie chciałem już dalej ryzykować. Pozytyłem trochę od kolegi, wziąłem pożyczkę bankową i obraz kupilem.

CZŁOWIEK WIERZY, A LUDZIE KRADNĄ

— Najbardziej boli mnie to, że ludzie przyjeżdżają zwiedzać, a kradną. To się często zdarza. Tak właśnie straciłem piękny złoty zegarek. Ale, wie pan, człowiek jest naukowy, wszystkim wierzy...

To zaczęło się gdzieś w latach pięćdziesiątych. Najpierw przyjeżdżali znajomi, koleżanki-kolekcjonerzy zaczęły przychodzić dzieci ze szkoły i tak się już utarło, że każdy mógł przyjechać, obejrzeć. Marian Brandys spędził u mnie parę tygodni, zbierając materiały do swoich książek o Kozielskim. Profesor Pigoń... Wielu naukowców tu u mnie bywało.

Prowadziłem już wtedy aptekę po ojcu. Bo choć przed wojną ukończyłem studia ekonomiczne, po śmierci ojca w 1947 roku zdecydowałem się pójść na farmację. Apteka była jeszcze prywatna, a obowiązki wtedy przepis, że jeżeli ktoś z bliskich zmarłego właściciela jest farmaceutą lub choćby studiuję farmację, to apteka nadal pozostaje własnością rodziny. No i zostałem po raz drugi studentem mając 38 lat. Nigdy nie lubiłem fizyki i chemii, ale jako przygotowałem się do egzaminów i zdałem na Akademii Medycznej w Łodzi. Byłem najstarszy na roku... Druga młodość...

Potem aptekę upaństwowiono, zmieniono jej wystrój, niszcząc przy okazji meble apteczne z lat tysiąc osiemset osiemdziesiątych, ale to już zupełnie inna historia...

ZBIORÓW NIE MOŻNA ZAMKNĄĆ W PIWNICY

Kiedy Jerzy Dunin-Borkowski skończył 67 lat, przeczytał gdzieś, że osiągnął właśnie przeciętny wiek mężczy. Zastanowiło go to na tyle, że zaczął poważnie myśleć o przyszłości swoich zbiorów. Syn nie wykazywał checi kontynuowania dzieła życia ojca, córka... Tak, córka wykazywała pewne zainteresowania w tym kierunku, ale córka nie żyje. Zmarła w wieku 15 lat w wyniku nieudanej operacji wyrostka robaczkowego. Cóż więc po tym zostanie?

Pojechał do Warszawy do prof. Stanisława Lorentza. Znalaz się od dawna, bywali u siebie, wiodąc wielogodzinne przyjacielskie rozmowy.

— Panie profesorze — powiedział wtedy — potrzebuję pana rady... Niepokoję się o moje zbiory... Chciałbym przekazać je panu, Muzeum Narodowemu.

Prof. Lorentz od razu wezwał sekretarkę i podyktował jej treść aktu darowizny. W kilka dni później zjawił się w Krośniewicach w asyście swoich zastępców i zabrał ofiarodawcę do biura potarialnego w Plocku, gdzie mieli dopełnić formalności. Podpisy zostały złożone. I wtedy...

Muzeum Narodowe wykupiło zabytkowy zajazd w krośniewickim rynku z rąk prywatnych właścicieli (do Jerzego Dunin-Borkowskiego należała jedna czwarta) za sumę ponad 4 mln zł, aptekę wykwaterowano — budynek od lat wymagał kapitalnego remontu. Ale nim jeszcze ustalono termin rozpoczęcia i zakończenia tego remontu, prof. Lorentz wydał zarządzenie, że na czas jego trwania zbiory mają być zdeponowane w magazynach muzeum w Warszawie. Przesłał już nawet skrynie... Borkowski zaprotestował!

— Po pierwsze — argumentował — remont przeciągnąć się może na długie lata, a przecież ustaliliśmy, że jako dożywny kurator mam być razem z moimi zbiorami. Po drugie — nie została jeszcze przeprowadzona ich inventaryzacja, skąd więc mogę mieć pewność, że po kilku tam latach wszystko wróci z powrotem do Krośniewic?

Kolekcjoner rzymski Verres wolał otruś się niż wydać piękną wazę koryncką swemu rywalowi, Markowi Antoniuszowi. Jerzy Dunin-Borkowski przypłacił swój sprzeciw zerwaniem długoletniej przyjaźni z Stanisławem Lorentzem.

Pojawił się też nowy problem. O ile dotąd prywatne muzeum znajdowało się w prywatnym mieszkaniu, to teraz w państwowym muzeum prywatnego mieszkania być nie mogło. Borkowski uważał że jako ofiarodawcy, Muzeum Narodowe powinno przyjąć mu z pomocą. Lorentz — że to nie jego sprawa.

Henri le Peq, fundator muzeum kowalstwa, zył jak żebrak. Jerzy Dunin-Borkowski, choć też do rozrzućnych nie należy (tak twierdzi żona, a żonie w tej sprawie można śmiało wierzyć) nie miał zamiaru posuwać się aż tak daleko... Chociaż...

Niedawno odwiedził go młody mieszkaniec Kutna. Potrzebował pieniędzy na własny ślub. Przyniósł ze sobą porcelanową figurę — rok 1800, niemiecka robota Transakcja szybko została zawarta — ale figurę kupił nie kurator oddziału Muzeum Narodowego, lecz kolekcjoner. Jerzy Dunin-Borkowski — za własne prywatne pieniądze — oczywiście dla tegoż muzeum. Taki już jest.

Kiedy dowiedział się, że powstał ogólnopolski komitet obchodów 300-lecia odsieczy wiedeńskiej, zezwolił się do niego z propozycją zorganizowania w Krośniewicach wystawy z tej okazji. Ma przecież pamiętki po Sobieskim, inne eksponaty z tamtego okresu, niejedna wystawa też już zorganizował. Propozycję przyjęto z zycielwio — ale nie w Muzeum Narodowym. Dyrektor, prof. Stanisław Lorentz powiadomił go pismem, że podejmowanie samodzielnych inicjatyw bez uzgodnienia ich z dyrekcją jest niedopuszczalne i dlatego obywatel Borkowski — nawiasem, jako kurator, członek tejże dyrekcji — ukarany zostaje nawaną. Pismo nosi datę 21 października 1981 roku.

21 lutego 1983 roku pełniący obowiązki dyrektora Muzeum Narodowego, mgr Andrzej Michalowski anulował decyzję swojego poprzednika. Wykazał też duży dobrej woli w sprawie przyszłości oddziału w Krośniewicach.

28 lutego sześciu robotników przystąpiło do wstępnych prac remontowych na parterze starego zajazdu. Przez cały dzień odkuli kawałek zniszczonego tynku w jednym z pomieszczeń. Dozorca powiedział, że srobiłby to szybciej sam. Planuje się, że odnawianie parteru potrwał ma dwa lata.

Pietra?...

Jerzy Dunin-Borkowski powiedział kiedyś, że najważniejsze sprawy w życiu to zdrowie i przyjaźń.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

W przeciwieństwie do kontestacji politycznej, która niezadługo młodych zbuntowanych doprowadziła w żulek doktrynalnej utopii lub na społeczny margines, zakwestionowanie kultury łączyło się często z nowymi, czasami odkrywczymi, w innych przypadkach jedynie szokującymi propozycjami twórców i artystów. Owa „kulturowa rebelia” prowadziła niejednokrotnie do prawdziwej eksplozji nowatorskich form szeroko pojmowanej sztuki, do zrodzenia się w jej obrębie nowych, w tym również zaangażowanych społecznie treści.

Postawy, dążenia i programy kontestacyjne badał najpełniej wyraził się w muzyce tamtego okresu, przede wszystkim w tzw. muzyce młodzieżowej. Wstrząsy społeczne, polityczne i kulturowe lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych pośrednio lub bezpośrednio wywołane młodzieżowymi ruchami protestu, dawały także asumpt „nowej fali” w teatrze, filmie i literaturze.

Filozofia buntu odcisnęła silne piętno na młodzieżowym stylu bycia. Zrodziła nowe, niekonwencjonalne wzorce zachowania, zaowocowała postawami kulturowego nonkonformizmu. W Polsce powojennej budał najwcześniejszą formę białonarzu. Byli to młodzi ludzie napiętnowani przez propagandyistów ZMP, pozujący na „złoty młodzieńców” w złe pojęciem amerykańskim stylu popisujący się krzyżaczym ubiorem. Jeszcze większą rewolucję w młodzieżowym stylu bycia spowodowało pojawienie się hipisów i a la hipisów.

Dla jednych było to „właśnie to”, dla innych, przeważnie starszych — szok lub po prostu blaźnistwo.

BYĆ SOBA

O możliwości „bycia sobą” upomniało się już w przeszłości niejedno pokolenie. Dzisiejsza młodzież, chociażby przez swoich idoli krzyczy: „ciągle ktoś mówi coś”, albo — „chcemy być sobą wreszcie!”. Jest to normalne i naturalne. Każde pokolenie szuka swojej tożsamości, tak jak swojej prawdy, swojego sensu życia i stylu bycia. Pragnie być autentyczne i wolne od balastu złego i dobrego swoich poprzedników, głównie rodziców. Mimo to, trudno byłoby mówić o filozofii czy stylu życia całego pokolenia. Po pierwsze — dlatego, że trudno jest definiować te pojęcia w odniesieniu do całych roczników młodzieży. Po drugie — po prostu dlatego, że ów styl tworzą jedynie mniej lub bardziej nieliczne grupy, zaś lansują go głównie idole albo przywódcy grup rówieśniczych, „cyganeria” każdej generacji. Tymczasem sowa pragnie być bez mała każdy. Udaje się to jednak tylko nielicznym.

Co to znaczy: być sobą? W literaturze przedmiotu znaleźć można różne próby odpowiedzi na to pytanie, rozmaite interpretacje modnego „bycia sobą”.

Zwolennicy teatru guerilla, rewolucyjnego, aranżowanego na ulicy, łamiącego bariery podziału na twórcę i odbiorcę, głosili:

„Aktor nie powinien mówić lepiej niż ludzie. Nie ma bowiem nic lepszego niż zwykłe ludzkie słowa. Musi więc zrzucić pozę i autentycznie przedstawić życie. Gra ma się pokrywać z życiem”.

Był to więc swoisty rodzaj realizmu i autentycyzmu. Podobnie jak muzyka nowej fali, teatr ten kreował sytuacje, w których następowało odblokowanie tłumionych pragnień, uczuć i ujawnianie leków, w których ludzie — twórcy i odbiorcy „byli sobą”. Zwolennicy tego rodzaju konwencji głosili, że jeśli nie ma się nic do powiedzenia — nie robi się nic interesującego, nawet przy znakomitej znajomości techniki aktorskiej, muzycznej. Jeśli więc nie zna się techniki, lecz ma się coś naprawdę do powiedzenia, chce się coś powiedzieć, wówczas zastosowane środki muszą być spontaniczne, nowe i owocne.

Myszę, że co jak co, ale to zasada i sposób „bycia sobą” jest nie tylko prawdziwa, ale i aktualna zawsze, a więc również dziś.

Były i inne, dla przykładu bardziej powierzchowne sposoby na to, aby „być sobą”.

Kontestacja, ucieczka od rzeczywistości społecznej, której młodzi zbuntowani ani nie potrafili zmienić, ani zastąpić inną — lepszym światem, miała być sposobem na to, aby obronić się, nie ulec presji otoczenia. Schronienie się w swoim intymnym świecie marzeń i pragnień, to też miał być sposób na uratowanie siebie, na to, aby zachować siebie (swoje poglądy, maniery i sposób bycia). Miało to być „lekarstwo” na to, aby być takim a nie innym, nie jak inni, nawet jeśli miałoby to być wbrew „całemu światu”, a konkretnie — presji najbliższego otoczenia.

KAROL JOZEF STRYJSKI

Rock i „rebelianci”, czyli „nowe plemię”

W myśl filozofii „bycia sobą” presji tej nie powinno się ulegać, nie powinno się kapitulować przed kołtuńskim środowiskiem (dom, szkoła, krąg rówieśniczy). Zachowaniem tego typu towarzyszyła moda na ekscentryzm (niebadały strój, długie włosy, broda) i ekstrawagancję. Maniera był brak tzw. dobrych manier.

Czasami postawy ekscentryczne znajdują liczne głośnie nadsładowców i tych, którzy też po prostu malują. Stąd też owe zewnętrzne oznaki, jakby akcesoria wyznawców filozofii „bycia sobą”, zaświadczały w wielu wypadkach o latwiejszym dochodzeniu w tym względzie do absurdu.

NOWY STYL ŻYCIA

Jak już wspomnieliśmy, żywił kontestacji i młodzieżowego buntu przyniosł z sobą rozmaite przejawy tzw. nowego stylu życia. Sprawa ta stała się modnym tematem publicystyki i rozmów prywatnych. W sensacyjnych opisach „nowego stylu życia” szczególnie eksponowane były dwie sprawy: seks i narkotyki. Patrząc dziś, z pewnej czasowej perspektywy na to zjawisko trzeba przyznać, iż to, co oburze-

ni moralisci próbowali sprowadzić do sensu „nowego stylu życia” kontestujących grup, było częstokroć jedynie jego marginesem, skutkiem załamania się, zagubienia, albo daleko niepełną projekcją ogólniejszego zjawiska.

Można przytoczyć jakby trzy typy przykładowo „nowego stylu życia” zrodzonego na gruncie kontestacji.

Charakter najbardziej kolektywny miał styl życia komunistów i podziemnych organizacji walczących (Wilkołazi, Czarne Pantery). Zwolenników tej formuły łączyła czynna akceptacja wspólnych wartości, w imieniu których odrzucał-

ni wszelkie uczestnictwo w zastanej rzeczywistości społecznej lub podejmowali walkę z tą rzeczywistością. Ten „styl życia” budził i budzi największe społecznych kontrowersji i krytyki.

Styl życia „uciekierów” jest stylem przejściowym. W dalszej lub bliższej przyszłości zmusza on do dokonania wyboru — zejścia do środowiska społecznego marginesu lub powrót do domu, do swoich, do kręgu spraw, przeciw którym się zbuntowało. Są to powroty niełatwe, bo następują po nieudanych próbach znalezienia swego miejsca w innym rzekomo lepszym świecie.

Najczęściej spotykany, najbardziej powszechny był styl życia pośredni, kiedy pewne obszary życia podporządkowane są wymogom „normalnego życia”, inne zaś pozostają wolne, stanowiąc pole samo-realizacji. Jest to więc postawa kompromisowa „kontrkultura” do pewnych granic. Chodzi się dla przykładu do szkoły, czy pracy, ale zarazem używa zewnętrznych atrybutów grup kontestacyjnych. Albo dzieli się życie między zwyczajną codzienność a przebywanie wśród uciekierów czy tych, którzy odważyli się rzucić wszystko, aby znaleźć schronienie w komunie.

W naszych polskich warunkach ten trzeci typ „nowego stylu życia” był dominujący wśród rodzimych kontestatorów. Znajduje to również potwierdzenie w literaturze.

JAK TO BYŁO U NAS!

Do przesłanek, które skłaniały powojenne pokolenie polskiej młodzieży do poszukiwania „nowego stylu życia”, zaliczyć można co najmniej kilka. Przy czym trzeba zastrzec, iż mają one odniesienie do pokolenia ludzi już dziś dorosłych, między 30 a 40 rokiem życia.

Pokolenie to buntowało się z wielu powodów i kilkakrotnie. Jedną z przyczyn poszukiwania własnej tożsamości, własnego stylu była „luka życiorysowa”. Pokolenie to nie było bohaterami II wojny światowej. Nie znało jej. Brak tamtych doświadczeń u niektórych rodził kompleksy, bo też prawie wszędzie, w szkole, w domu, na obowiązkowej akademii z udziałem weteranów, słyszeli: — co wy wiecie o życiu, czym są nasze problemy skoro nie przeżyliście wojny? Ten kto ją przeżył, a jeszcze zarobił na niej taki czy inny order był kimś. Mógł dopominać się o swoje.

Waldemar Lysiak, autor „Asfaltowego saloonu” pisze:

„Pierwszy jego publiczny występ miał miejsce w muzeum koncertowej Overton Park w Memphis. Kiedy śpiewając puścił w ruch obrotowy swoje biodra (stad zwano go przez pewien czas: Elvis the Pelvis — Elvis Biodro), tłum nastolatków wpadł w ekstazę i stał się całkowicie „crazy”. Przeraziło go to, uciekł ze sceny. Ale było już za późno na ucieczkę — wkrótce potem cała Ameryka zwariowała na jego punkcie”.

„ELVIS THE PELVIS”

Elvis Presley przełamał swoim śpiewem hegemonię cłkiewych szlagierów w przedwojennym stylu, tyleż słodkich co nienaturalnych. Raz jeszcze zacytujemy W. Lysiaka: „Ameryka lat pięćdziesiątych trwała pogrążona w drzemce międzywojennej, zawieszona między Koreą a Wietnamem. Dręta jak Eisenhower, Zadovolona z siebie, w świętym błogostanie. Ojcowie spoglądali z dumą na swoje coraz to wyższe domy i coraz to dłuższe samochody. Dzieci uważały jak być bogobojnym i jak zjechać prosto do kariery. Aż nagle jakaś gwałtowna, frenetyczna muzyka wyrwała Amerykanów z odrętwienia. Z głośników dudnił przedziwny melanz murzyńskiego bluesa i pieśni białych farmerów. Zaskoczenie: to jakiś biały szczeniak z Poludnia wydaje z siebie te szalencze dźwięki. Tak narodził się rock and roll”.

Wtedy także wziął początek „konflikt pokoleń” między dwoma generacjami Amerykanów: rodziców, bez reszty zniewolonych manią robienia pieniędzy i kariery oraz ich dzieci — wolnej od przesądów, beztroskiej, pożądlivej i czulej amerykańskiej młodzieży. Pokolenia te uświadomiły sobie, że żyły w dwu różnych światach. Drzwi pokojów nastolatków zatrzęsły się w całej Ameryce.

Elvis swoim zachowaniem na scenie, a także tekstami kilku swoich piosenek wyzwolił istną rewolucję seksualną.

„Jego namięte „turn me loose” zamieniło tylne siedzenie samochodu amerykańskiego tatusia w pole słodkiej bitwy o „free love” teenagerów, inne zaś piosenki i ekspresyjny sposób ich podawania wzniesły młodzieńca aktywność na innych polach”.

To krytyk John Rockwell pierwszy nazwał Elvisa „Rebeliantem”. Ten przydomek przylgnął do niego na stałe. Jeszcze dalej poszedł Jerry Rubin, twierdząc, iż: „Nowa Lewica” wywiodła się z rytmu Presleya. Stwierdzenie to zawiera wiele prawdy, choć niecała. „Na powstanie tej filozofii i ruchu „trzeciej siły” złożyło się zapewne wiele wieści społecznych, kulturowych i politycznych przyczyn i powodów. Niemniej jednak wpływ Presleya na rodzaca się właśnie nową kulturę na „kontrkulturę”, był bardzo wielki. John Lennon powiedział:

— Przed Elvisem nie z życia nie mogło mnie wziąć. „Elvis kupił” z czasem także dorobki. Niespodziewanie jego piosenki stały się pomostem między zwaśnionymi do siebie pokoleniami. A stało się to za przyczyną śpiewanych pół krzykiem, pół szeptem romanсів, pięknych koled, jak ta — „Smutne Boże Narodzenie” i pieśni religijnych.

powstały ku temu warunki. wówczas to jak grzyby po deszczu wyrosły młodzieżowe kluby, piwnice, zespoły.

Zjawisko to funkcjonowało jeszcze w miarę autentycznym, własnym rytmem do połowy, a może nawet i do końca lat sześćdziesiątych. W tym czasie powstawały piosenki protestu i buntu, pieśni zaangażowane. Wtedy śpiewano poezję uznanych poetów i poszukiwano własnych słów na wysławianie prawdy o sobie, o innych, o życiu. Wspomnienie tamtych czasów odnajdujemy w piosence Z. Holdysa i B. Olewicza pt. Autobiografia:

„Miałem dziesięć lat gdy usłyszałem o nim świat. W mej piwnicy był nasz klub. Kumpel radio zniósł, usłyszałem Blue Suede Shoes i nie mogłem w nocy spać. Wujek Józek zmarł, darowano resztę kar. Znow się można było śmiać. W kawiarniany gwar, jak tornado jazz się wdarł. I ja też: chciałem grać”.

ROCK BYŁ KULTUROWĄ REBELIA

„ELVIS THE PELVIS”

Nowa muzyka, muzyka zaangażowana wyrosła z tradycji jazzu, murzyńskich protest-songs, amerykańskich ballad i pieśni ludowych. Łącząc te wszystkie wątki z młodzieżową muzyką taneczną, „zbuntowani” stworzyli bogatego w swoich formach rocka. W okresie późniejszym muzyka ta nawiązała do motywów Wschodu.

Muzyka zmieniła obyczaj i ludzi, stała się ekspresją kolektywną. W zbiorowym jej przeżywaniu zacierały się różnice między odbiorcą a twórcą. O roku pisano:

„To muzyka o najbardziej witalnej formie. Muzyka ta nie powstaje wedle jakichś z góry przyjętych założeń estetycznych. Oni po prostu chcą robić to, co robią. To się wyraża w formule — robić swoje!”.

Była to muzyka buntu i protestu, świadomie „rewolucyjna” zarówno w wymowie dźwięków, jak i treści śpiewanych tekstów.

Bobby Dylan śpiewał przeciw „nieowił wewnętrzną”, przeciw nędzy i niesprawiedliwości „czarnej samotności” człowieka „właśnie współczesnym” świecie. Zaż Mick Jagger, przywódca Rolling-Stonów, mówił:

„Jest to pieśń dla walczącego ludu (...). Wierzę mocno, że muzyka może wywołać rewolucję. Bardzo pragnąłbym tego”.

Inni zwolennicy tej filozofii, głosili, iż rock był kulturową rebelia.

„Musimy przestać ndawać — nawoływali — a zacząć wyrażać to, co czujemy, zacząć realizować to, co się nam podoba. Ponieważ burżuazja nie potrafi czuć się czymś tak niezwykłym jak muzyka rock, nasz entuzjazm jest wymierzony w jej twarz polekkiem. Nazywa ją hałasem, ponieważ zakłóca jej spokój i zadowolenie”.

Szczególną formą „nowej kultury” budowanej na fali tej muzyki były młodzieżowe festiwale, które daleko wykraczały poza artystyczne cele. Festiwale te często przekształcały się w polityczne manifestacje. Jednym z największych „złoty młodzieży” był festiwal w Woodstock (sierpień 1969 r.). Plakaty z zarzaniem symbol tej imprezy to strzelba skrzyżowana z gitarą, płocą indyjską i hipisowskie listki. Na gorze zaś napis: „Woodstock Nation”.

Umarł „Król”, i jak zwykle... narodził się nowy, i następny. Pojawił się nowy idole, grupujący wokół siebie tysiące, setki tysięcy i miliony fanatyków i zwolenników „Nowa fala”, uderzając o brzegi tradycji, wykruszyła z niej powoli, ale uparcie, konsekwentnie to, przeciw czemu wystąpili prekursorzy „kontrkultury”. Rodzą się wciąż nowe style, formy i fascynujące Jedną z kolejnych już w latach 60, staną się Beatles — kolejny „okręt flagowy na nowej fali”.

Obserwując społeczne zjawiska towarzyszące „kontrkulturze” rozumianej bardzo szeroko, trudno tak od razu, bez dania choćby odrobiny racji odrzucić te i argumenty tych, którzy twierdzą: jak chociażby twórcy festiwali w Woodstock, że „nowa muzyka”, szczególnie muzyka zaangażowana, zrodziła swoiste „zjednoczenie młodej generacji”, jedność młodego pokolenia, coś na kształt „nowego plemienia”.



W miniony piątek, w Muzeum Historii Miasta Łodzi odbyło się uroczyste spotkanie z okazji 38 rocznicy wyzwolenia Węgier. Uroczystość przygotowana została przez członków łódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Węgierskiej. Udział w niej wzięli: sekretarz ambasady WRL w Warszawie, Andras Szabo, dyrektor Węgierskiego Instytutu Kulturalnego, Laszlo Nagy oraz przedstawiciele władz politycznych i administracyjnych województwa. W części artystycznej aktorka Teatru Nowego, Maria Białobrzaska, przedstawiła poezję Sandora Petöfi'ego. Natomiast Tadeusz Chmielewski (fortepian), Małgorzata Tomalak-Wierzbka (skrzypce) i Adam Wierzbka (klarnet) wykonali kilka kompozycji Liszta, Wainera i Bartoka.

Kronika kulturalna

W poniedziałek, 11 kwietnia, w Domu Teatru ŁDK odbyła się premiera spektaklu „Glosy”. Jest to spektakl przygotowany na podstawie poezji Cypriana Kamila Norwida. Przedstawienie wyreżyserował Andrzej Czerny, zaś muzycznie opracowała je Grażyna Walkowska. Występują: Anita Klakus, Włodzimierz Twardowski, Tadeusz Tryzubowicz i Krzysztof Petras.

W Toruniu zakończył się XVIII Ogólnopolski Festiwal Teatrów Jednego Aktora. Ogromny sukces odniósł na nim Teatr Uniwariatus Estrady Łódzkiej. Jego aktor, Leszek BENKE, otrzymał III nagrodę (I nie przyznano) za wykonanie monodramu pt. „Artycha”. Premiera spektaklu, którego reżyserem jest Ryszard Bigoskiński, odbędzie się wkrótce w Klubie Estrady Łódzkiej „Test”.

W klubie MPIK w Pabianicach czynna jest wystawa fotograficzna pt. „Tajemniczy świat jaskiń”. Zdjęcia jaskiń polskich, austriackich, bułgarskich, hiszpańskich i szwajcarskich wykonali członkowie Warszawskiego Klubu Speleologicznego: Waldemar Burkacki i Jerzy Milka.

Od niedawna czynna jest w Pabianicach, w osiedlu mieszkaniowym Bugaj (ul. 20 Stycznia 14) nowa — pierwsza w osiedlu — biblioteka dla dorosłych z oddziałem dla dzieci. Księgozbiór — ponad 12.000 woluminów, lokal — specjalnie adaptowany do potrzeb placówki — ponad 300 m kw. Jest to już druga nowa biblioteka, która została otwarta w Pabianicach w ostatnim okresie. Poprzednią, w maju ub.r., w Szpitalu Miejskim.

Agencja Koncertowa Stowarzyszenia Artystycznego, zaprasza wszystkich miłośników tańca, na spotkanie z Ewą Wycichowską — primabaleriną Teatru Wielkiego. W programie: „Larghetto” — II cz. Koncertu F-moll F. Chopina — tańczą Ewa Wycichowska i Kazimierz Wrzosek, choreografia Ewa Wycichowska. Nauka tańca moderne dla wszystkich uczestników spotkania: „Głos kobiecy” — inscenizacja i choreografia Ewy Wycichowskiej z inspiracji wierszy Rafała Wojaczka, muzyka — Krzysztof Knittel, tańczą: Anna Fronczek, Małgorzata Stądzyn, Liliana Kowalska, Tomasz Łukasinski. Spotkanie odbędzie się 18. 04. 83 r. w Muzeum Miasta ul. Ogrodowa 15.

W ramach obchodów Miesiąca Pamięci Narodowej w województwie łódzkim otwarta została w dniu 8 kwietnia 1983 r. w Oddziale Martyrologii i Walki w Miejscu Pamięci Narodowej na Radogoszczu ekspozycja czasowa „Martyrologia i walka w filatelii” prezentująca w tej nietypowej, ale ciekawej formie losy narodu polskiego w latach okupacji hitlerowskiej. Znajdą się na niej zbiory Stefana Płyca „Nigdy więcej...”, Wiesława Dobrowolskiego „Walka i martyrologia Narodu Polskiego”, Tadeusza Kościelna „Walka i mecenstwo Narodu Polskiego 1939-1945”, Waldemara Łackiego „Walka i mecenstwo Narodu Polskiego”, Janusza Biegańskiego „Wszystko co nasze Polsce oddamy” oraz Leonarda Ostasa „O pokój na ziemi”.

Na szczególną uwagę zwracających zasługiwają buda oryginalne karty, koperty listy z korespondencją więźniów i jeńców obozów hitlerowskich będące fragmentem zbioru Stefana Płyca. Pokazane zostaną znaczki emitowane przez różne państwa upamiętniające martyrologię lat II wojny światowej.

Zaprezentowane będą znaczki dokumentujące udział Polaków na różnych frontach wojny, wydawane przez państwa sojusznice, jak również Rząd Rzeczypospolitej Polskiej na Emigracji oraz Tajna Poczta Polska. Akcentem zamykającym wystawę są zbiory poświęcone walce o pokój na świecie i udział w tym Polski. Organizatorzy zapewnili z okazji wystawy stemple okolicznościowy oraz punki sprzedaży znaczków pocztowych interesujących filatelistów.

Wystawa czynna będzie od 9 maja br.

Henryk Szylikin

Czas

Jakże poezją ocalić świat co kołem zamachowym nad przepaścią zwiłokrotnia obroty zia

Przezwierają się osie kontynentów zgrzytają łańcuchy militarnych bloków pęka śruba pojednania

Nie otworzy ziemia wierszem nieba nie zakwitną kwiaty świętego Franciszka na grobie umarłych z głodu

Człowiek zapatrzony w karabin nie chce być aniołem

Oto stanął przed orkiestrą poważniogich werbli uderzając kolbą nienawiści

Mózg

Chciałbym wiedzieć w jakich godzinach historii zaczynają się tryby mózgu pękają hamulce wapienią komórki logiki wylewa się olej

Ile w nim wynalazków a ile skradzionych patentów

Chciałbym wydobyc spód twardej skorupy czaszki ukryty gniew powalone nadzieje nieprzydatne idee w domu przyszłości

Chciałbym spotkać ten mózg co zapisuje złotem księgę jutra i ten ukryty najpodlejszy co na zgubę swoją i naszą rodzi zatrute owoce

Do przyjaciela

Wierz w moje złudzenia — są piękniejsze niż twoja naga prawda

Złudzenia nie płaczą nie walczą z kohortą kłamstwa ani do nieba unoszą rąk

To wierny przyjaciel co nie kłęk przed prawem Drakona ani raportem rzymskim

Złudzeń nikt nie zabije nie musi do niewiarę w ogień żąpalony wodą

To śpiew labędzi między słowem a milczeniem

Przed złudzeniami nawet warty prezentują broń

Droga

Z trudem poznaję świat tyle w nim starych i nowych kościołów

Życia i śmierci radości i smutku prawdy i kłamstwa

Już nie pamiętam w którym mnie ochrzczono

Tyle różnych obrazów odbija się w oczach tyle dróg wybudowano dla mnie tyle rakiet wycelowano we mnie tyle psów węszyć moje kroki

Aż beznadziejnie stoję na skrzyżowaniu ulic

Zapomniałem gdzie wertepy kłamstwa nie wiem w której stronie drogowaskazy prawdy na jakim zakręcie smutek na którym przystanku radość

Przypominam tylko dwóch szubrawców co za trzydzieści srebrników kupił chcieli moje serce

Czy grozi nam socrealizm?

Rozmowa z prof. ZDZISŁAWEM GŁOWACKIM, kierownikiem katedry kształcenia ogólnoplastycznego w PWSSP w Łodzi.

— Krótko po wprowadzeniu stanu wojennego w łódzkim Klubie Dziennikarza zawieszono pierwsze trzy obrazy Heleny Bacalowej. Później pojawiły się następne innych autorów. Wszystkie wyróżniały się bulwersującą formą. Te nietypowe ekspozycje nazwaliscie „Galeria trzech obrazów”. Działo się to w okresie, w którym w innych środowiskach artystycznych miała miejsce pewnego rodzaju błąkada kontaktu z odbiorcami. Czy to przypadek, czy też działanie zamierzone?

JAKA SZUKA...

— Raczej to drugie. Wychodziliśmy z założenia, że począwszy od 1981 roku rozpoczęły się w Polsce istotne zmiany jakościowe w życiu społeczno-politycznym. A ponieważ wszelka twórczość, a w szczególności sztuka jest ściśle związana z tym, co się wokół dzieje, nie mogliśmy nie reagować. Odkładanie pędzla czy zawieszanie kostiumu na koklu, niczego nie zmienia. Wręcz przeciwnie: staje się czynnikiem hamującym przemianę, a więc czymś wstecznym.

— Była więc to manifestacja polityczna czy artystyczna?

— Przed wszystkim artystyczna, chociaż odziedlić od siebie tych spraw nie sposób. — Nazwaliscie tę formę „biologizmem”. Co ma biologia wspólnego z nową jakością społeczno-polityczną?

— Każda nowa jakość o tak powszechnym charakterze, bo dotycząca dziesiątków milionów ludzi, powinna się zapisywać w stosunku do starej, formą postępową, rozwojową.

— Proszę o szersze uzasadnienie tej tezy. — Zaczniemy od 1917 roku w Rosji. Jaka sztuka była wykładnikiem tej rewolucji? Kubofuturyzm i konstruktywizm. Oba te kierunki były postępowe wobec realizmu krytycznego dominującego w dobie caratu. Można więc powiedzieć, że wszystko to, co jest w sztuce nowe, i jeśli jest rzeczywiście nowe, jest potwierdzeniem słuszności formuły społeczno-politycznej, konkretnego programu, wyrazem tych stosunków w formie rozwojowej.

W Polsce powojennej mamy eksplozję post-impresjonizmu (mówię o okresie, gdy był on powszechny), który był bardziej postępowym niż formy z okresu Młodej Polski.

Po 1956 roku dominuje abstrakcjonizm, a staje się to za sprawą nowej jakości politycznej i narodowej. Z kolei lata siedemdziesiąte to powrót do secesji, paraplasyki, czyli elementów ekspresjonistycznych. Są one wtórne do sztuki abstrakcyjnej, której dominacja osiąga swój kres.

CZY GROZI NAM SOCREALIZM!

— Czy grozi nam socrealizm z lat pięćdziesiątych?

— Nie sądzę. Socrealizm jako forma musiał umrzeć, bo nie proponował nowego sposobu wyrazu. Ilustrował fakty, które były przede wszystkim potrzebne partii robotniczej. Podkreślał — młodej partii — która nie miała spisaną swoją historię, swoistej dokumentacji. I tę historię sztuka zapisala. Socrealizm umarł, bo nie proponował nowej formy w stosunku do postimpresjonizmu. Była to ucieczka do barokizacji, klasycyzmu i realizmu krytycznego.

— Dlatego został tak skwapliwie odrzucony? — Tak, chociaż znaczący wpływ miały wielkie wydarzenia o charakterze politycznym, narodowym. Chcę jednak zaakcentować, że nie wszystko było w tamtym okresie złe. Była to przecież pierwsza próba utrzymania sztuki przez państwo. Wcale udana.

— Ale była to też próba odzwierciedlenia tego, co się w kraju działo. Sam pan mówił, że sztuka powinna każdorazowo wyrażać nową jakość społeczno-polityczną...

— Nie wystarczy tylko ilustrować, to o wiele za mało... — Oglądałem takie ilustracje pańskiego autorstwa...

— Nie zamierzam tego ukrywać. Malowałem działaczy ruchu rewolucyjnego, ówczesnych dostojników. Były też portrety zbiorowe...

— Pod naciskiem władz...

— Konkretnie — ówczesnego Ministerstwa

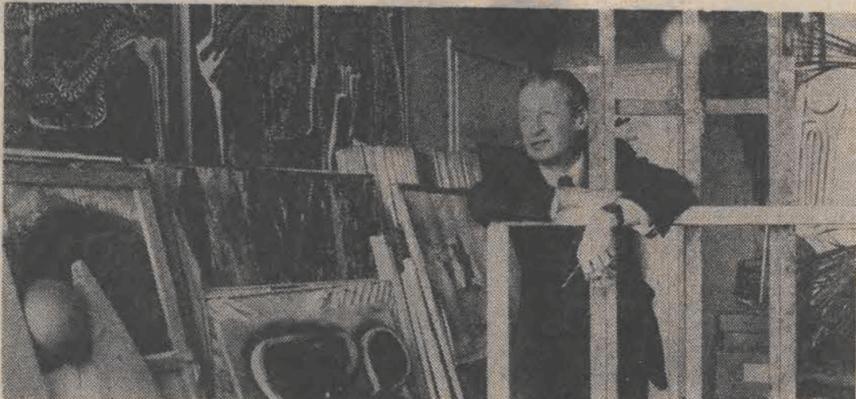


Foto: M. Zajdler

Kultury. Tak rozumiano wtedy mecenat. W rodzaju: płacę i żądam...

NOWA JAKOŚĆ

— Wróćmy do współczesności. Kiedy pana zdaniem rozpoczęła się ta nowa jakość?

— Od 1981 roku, a konkretnie od IX Nadzwyczajnego Zjazdu Partii. Może jeszcze dzisiaj nie wszyscy zdają sobie sprawę ze znaczenia tego politycznego i ideowego faktu. Jest to kwestia czasu, dystansu.

— Jaka więc ma być sztuka tego czasu?

— Na pewno postępową wobec ekspresjonizmu, paraplasyki i hiperrealizmu lat siedemdziesiątych.

— Czy można więc uważać, że malarstwo oglądane przy Piotrkowskiej 66 jest czymś postępowym...

— Oczywiście...

— Mało przekonujące stwierdzenie...

— Proszę pozwolić na mały wkład. Przez twórczość rozumie działanie, w którym mamy do czynienia z poznaniem. Przyjmując teorię poznania, jako rzecz w twórczości najważniejszą. Wylaniają się wówczas dwa kluczowe zagadnienia: pryncypum ideowe i bodziec poznania oraz poznanie rozumiane w kategoriach formalnych sztuki. Można więc powiedzieć, iż sam fakt poznania niczego jeszcze nie rozwiązuje. Rozstrzygnięciem jest forma wyrazu artystycznego tego, co się poznać pragnie...

Mottem drugiej prezentacji naszych propozycji, która będzie miała miejsce niebawem w Muzeum Historii Miasta Łodzi, będzie określenie: „Twórczość jest wiecznym ciągiem jak życie”. Co znaczy, że materia i jej poznanie, jest naszym ideowym kanonem.

— Sieganie do źródeł...

— Do genezy materii. Do starożytnej filozofii materialistycznej, odrzucając platoński idealizm dla którego materia jest jedynie lożyskiem dla rzeczy powstających z idei.

Tak więc materia jest podstawą działania filozoficznego, i musi mieć takowe odzwierciedlenie w sztuce. Choć materia jest poznawalna to ciągle nie poznana. Sztuka ma przyczynić się, prowokować do rozwikłania nieskończenie żywej materii i jej nierozdzielności od energii, czasu i przestrzeni.

— Stąd „biologizm”?

— Bo człowiek jest sumą, najdoskonalszą, znaną nam, formą rozwoju materii. A skoro sztuka, będąc funkcją wysoko zorganizowanej materii, powoduje nowe byty — choć „sztuczne” — jako skutek tworzenia musi „być prawdą”.

Poprzez to co proponujemy, chcemy pokazać wszystko, czego nie można ogarnąć zmysłami, chcemy przeżyć nieznaną... Nowe byty tkwiące w świadomości materii żywej, czyli człowieka. W tradycyjnym podziale materii, na żywą i nieożywioną.

To jest nasz program, nasze credo. Nasze obrazy, tak nieczytelne w pierwszym oglądzie, będąc właśnie skutkiem wysoko zorganizowanej materii, kłamstwem być nie mogą.

— Kto należy do „biologistów”?

— Helena Bacalowa, Jerzy Kudukis, Andrzej Nawrot, Andrzej Strumiłło, Tadeusz Wolański i ja. Pięciu z nas jest pracownikami naukowymi PWSSP w Łodzi.

— Czy ta forma jest absolutnie czymś nowym?

— Nie. Jest uprawiana, ale zupełnie z innych pobudek ideowych, z poznania zmysłowego.

PRAWDZIWIE I AUTENTYCZNIE

— Musimy jeszcze odpowiedzieć na pytanie: jakie zachodzą relacje między nową jakością społeczno-polityczną a naszą twórczością?

— Jesteśmy jako społeczeństwo na drodze poszukiwania własnej, prawdziwej autentyczności. Próbuemy poznać siebie samych, zrozumieć rzeczywistość by na nowo się zorganizować — stworzyć odpowiedni ład społeczny i polityczny. I stawiać się to powinno wokół określonej idei, jasno określonych celów.

Zadaniem twórców jest pomoc w precyzowaniu i ich wyrażaniu, jeżeli tak się nie stanie, to sądzę, że społeczeństwo nasze nie osiągnie owej autentyczności.

— Jest pan związany z łódzką szkołą plastyką od ponad trzydziestu lat, był pan jej rektorem, a dziś jest po raz drugi I sekretarzem organizacji partyjnej. Jest pan znanym w Łodzi działaczem społecznym i politycznym. Z tego co wiem, pozostali członkowie grupy są bardzo blisko marksizmu. Pod koniec naszej rozmowy widać wyraźnie, że to co robicie przypadkiem nie jest...

— To jest nasze „wyznanie wiary”, że użyję tego marksowskiego określenia. Ale jest to także nasza odzierzoność na pracy politycznej na terenie szkoły i poza nią. Chcemy wpływać na program dydaktyczny z tej właśnie pozycji.

— Sztuka jest działaniem zindywidualizowanym...

— I taką powinna pozostać. Przez różnorodność dochodzi się w sumie do pozytywnych skutków.

— I jeszcze jedno: wspominał pan, że sztuką XXI wieku będzie abstrakcja...

— Tak, bo to, co dotychczas było proponowane jako abstrakcja wynikało z innych pobudek ideowych.

Notował: JAN A. KRASZEWSKI

Zaden chyba z polskich lotników nie przeszedł tak trudnej — pełnej cierpień i upokorzeń — drogi, do umiłowanego zawodu, jak Stanisław Skarżyński, który tylko dzięki niezwykłej hartowi psychicznemu i fizycznemu, a przede wszystkim niespotykanej sile woli, osiągnął to, o czym marzył od lat młodzieńczych — latanie.

UPARTY „KUTERNOGA”

Urodzony 1 maja 1899 roku w Warcie — matym miasteczku opodal Sieradza — po ukończeniu gimnazjum we Włodawce wstąpił na Politechnikę Warszawską, interesując się szczególnie budową samolotów. Niestety, I wojna światowa przerwała studia i powrócił do rodzinnej Warty. Pod koniec wojny wraz z innymi rozbrajał Prusaków.

W roku 1920 służył i walczył w 29 Pułku Piechoty Strzelców Kaniowskich, odniósł kontuzję kolana. Wdało się zakazanie krwi i Stanisław Skarżyński przez kilka miesięcy walczył ze śmiercią. Wyzdrowiał, lecz pozostał inwalidą ze sztywną nogą, co unicestwiło jego marzenia o lotnictwie. On jednak za wszelką cenę chciał latać. Szukał więc ratunku wędrując od lekarza do lekarza. Wreszcie trafił na słynnego wówczas ortopedę p. dr. Latkowskiego, który widząc rozpacz i upór młodego pacjenta, postanowił go wyleczyć. Poddając się aż ośmiu skomplikowanym operacjom nogi i niesłyszanie bolesnym, wyczerpującym ćwiczeniom rehabilitacyjnym przeleżał dwa i pół roku w szpitalu. Dr. Latkowski udało się to, czego nie dokonali inni lekarze — uruchomił kolano Skarżyńskiego, który jednak nadal utykał na nogę, a każdy krok sprawiał mu niesamowity ból. Mimo to udawał zdrowego, aby tylko dostać się do lotnictwa.

Ponad rok trwały bezowocne starania Skarżyńskiego o przyjęcie do szkoły pilotów, ponieważ lekarze ciągle dyskwalifikowali go z powodu niesprawnej nogi. Ostatecznie dzięki pomocy p. dr. Latkowskiego i swojego byłego dowódcy pułku oraz dzięki nieskazitelnym opiniom przyjęto go do Szkoły Pilotów w Bydgoszczy, ale przyjęto go z łaski, mniemając, że nie wytrzyma trudów służby wojskowej po kilku tygodniach sam zrezygnuje.

Z wielkim samozaparciem i bohaterstwem znosił wszystkie trudności, osiągając niewątpliwie sukces, bo jako pierwszy ze swej grupy szkoleniowej wykonał samodzielny lot, który o mało nie przypłacił życiem. Samolot, którym leciał, zapalił się w powietrzu, a wysokość lotu była zbyt mała, aby skakać ze spadochronem. Tylko dzięki przytomności umysłu udało się mu wylądować i z trudem wydostać z palącej się maszyny, która na ziemi płonęła jak pochodnia.

Ukończył szkołę bydgoską w 1925 roku z dobrą lokatą. Dzieki nadludzkiemu uporowi i hartowi osiągnął upragniony cel swego życia — został pilotem! Gdy opuścił szkołę, dowódcy byli niemal pewni, że nie wytrzyma służby w pułku i wkrótce zrezygnuje z zawodu oficera pilota.

Por. pil. Stanisław Skarżyński otrzymał przydział do 1 Pułku Lotniczego w Warszawie, a po jakimś czasie, jako bardzo zdolnego oficera przeniesiono go do Departamentu Aeronautyki w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Nie przestał jednak latać. Kontynuował latanie w Sztabowej Eskadrze Treningowej i był nawet doskonałym pilotem, choć nigdy nie brał udziału w żadnych zawodach, popisach czy imprezach lotniczych. On marzył tylko o wielkim wyczynie. Mając dwadzieścia osiem lat, w roku 1927 awansował do stopnia kapitana.

DOKOŁA AFRYKI

Ten niepozorny, szczupły kapitan z lekkimi siwymi skroniami, był człowiekiem skromnym, nie znośącym rozgłosu, bardzo życzliwym i niezwykle opanowanym, a przy tym małomównym. Nigdy przedwcześnie nie ujawniał swoich zamiarów, jeżeli jednak wytyczył sobie jakiś cel, zmierzał do niego z żelazną konsekwencją. Król w sobie wielką siłę woli charakteru. Z niezwykłą dokładnością i spokojem opanował swoje wielkie przedsięwzięcia, zaskakując nimi dopiero w trakcie ich realizacji. Gdy jego koledzy sadzili, że jedyną pasją kapitana jest pra-

ca na departamencie i rozrywki, on śledził na książkach i mapach, studiując je i planując swoje wielkie zamierzenia.

Nagle oisnił wszystkich swoim pierwszym wielkim wyczynem, wyczynem na skalę światową. W dniu 1 lutego 1931 roku, w chmurny, mglisty i mroźny poranek, wystartował z lotniska mokołowskiego wraz ze swoim serdecznym przyjacielem z eskadry kpt. obs. Andrzejem Markiewiczem, na małym samolocie polskiej konstrukcji PZL L-2, biorąc kierunek na południe, a potem gigantyczny lot dookoła Afryki, w którym pokonał przestrzeń 25,700 kilometrów, powracając do kraju w aureoli zwycięstwa. W społeczeństwie zdobył sobie przydomek „Wielkiego Afrykanina”, a u władz zyskał kredyt „moralny”.

Ten właśnie lot zrodził pomysł następnego wielkiego wyczynu. Gdy podczas lotu afrykańskiego kpt. pil. Skarżyński wraz z kpt. obs. Markiewiczem biwakowali nad Zatoką Gwinejską, pilota urzekł swym ogromem ocean. Już wtedy postanowił, że następnym będzie lot przez Ocean Atlantycki. Myśl ta nie dawała mu spokoju przez kilka miesięcy. Kolejny przywieźli z zagranicy potrzebne książki i mapy, które studiował z wielką dokładnością, czyniąc notatki i obliczenia, przygotowując starannie plan następnego lotu, tym razem przez Atlantyk. Przy studiach klimatyczno-meteorologicznych służył fachową pomocą Skarżyńskiemu mgr Niemcewicz z Głównej Stacji Meteorologicznej w Warszawie. Po szczegółowym przestudiowaniu wszystkich dostępnych materiałów i starannym opracowaniu przelotu, postanowił zwrócić się do władz o zezwolenie na taki przelot. Zdawał sobie przy tym doskonale sprawę, że po niepowodzeniach atlantyckiego lotu mjr pil. Ludwik Idzikowski, zezwolenia takiego nie otrzyma. Tym bardziej, że w ostatnim czasie lotnictwo polskie przeżywało złą passę, spowodowaną licznymi tragicznymi wypadkami, jak chociażby tragiczna śmierć por. pil. Franciszka Zwirki i inż. Stanisława Wigury, we wrześniu 1932 roku, co nie sprzyjało atmosferze wyczynów lotniczych. Chytrze więc wymyślił cel swego przedsięwzięcia, prosząc swoich zwierzchników o pozwolenie wykonania przelotu w celu ustanowienia międzynarodowego rekordu długości bez lądowania na samolocie turystycznym drugiej kategorii.

Według przepisów Międzynarodowej Federacji Lotniczej — FAI — (Federation Aérienne Internationale) samoloty sportowe drugiej kategorii musiały być maszynami jednoosobowymi o ciężarze pustego samolotu nie przekraczającym 450 kg. Poza tym kpt. pil. Stanisław Skarżyński sugerował trasę tego lotu, położoną jak najbliższej Oceanu Atlantyckiego: St. Louis (Senegal) — Lyon (Francja) lub w odwrotnym kierunku. Władze lotnicze, biorąc pod uwagę małe rozmiary samolotu, nie przypuszczały, aby na tak miniaturowej maszynce odważył się ktokolwiek przelecieć Atlantyk i nie tylko, że bez trudności wydały Skarżyńskiemu zezwolenie na ten przelot, ale obiecały również pomoc finansową i techniczną dla jego zrealizowania.

TERAZ PRZEZ ATLANTYK

Dość długo zastanawiano się nad doбором odpowiedniego samolotu, spośród maszyn turystycznych będących w dyspozycji polskiego lotnictwa. Najbardziej odpowiednim był samolot RWD-5, który ze względu na walory lotne oraz zasięg 1,080 kilometrów, jak i maksymalną prędkość 210 km/godz. mógł spełnić pokładane w nim nadzieje. Ale RWD-5 był maszyną dwuosobową i pusty ważył 460 kg, a więc przekraczał wytyczne regulaminu FAI. Należało go przerobić a przede wszystkim znacznie zwiększyć zasięg kosztem wagi. Mnogość przeróbek doprowadziła w końcu do zbudowania całkiem nowego samolotu na wzorcu RWD-5. Zlikwidowano tylne miejsce pasażera, wmontowując duży zbiornik benzyny o pojemności 300 litrów. Zainstalowano też dwa zbiorniki dodatkowe po 113 litrów w skrzydłach, wzmocniono konstrukcję. Użytkowano zasięg samolotu do 5,000 km, co pozwalało na 29 godzinny lot. I tak powstał RWD-5 bis.

Ku zadowoleniu konstruktorów samolot pusty ważył tylko 446 kg, a robotnicy Doświadczalnych Warsztatów Lotniczych

szybko uporali się z jego budową. Prace nad RWD-5 bis rozpoczęto jesienią 1932 roku, a już w marcu 1933 roku samolot był gotowy — po wszystkich próbach i oblotach fabrycznych — do lotu. Na kadłubie i skrzydłach wymalowano znaki rejestracyjne SP-AJU. Maszyna wyglądała imponująco: cała srebrna, z czarnymi znakami rejestracyjnymi.

W Wielką Sobotę, 15 kwietnia 1933 roku, mimo złych warunków atmosferycznych: niskie chmury, porywiste wiatry i przeświata deszcze — kpt. pil. Stanisław Skarżyński przeprowadził ostatnią i najważniejszą próbę samolotu. Wykonał dziesięciogodzinny lot nad Polską, pokonując przestrzeń 1,650 km, z przeciętną prędkością 165 km/godz., z czego pilot był bardzo zadowolony, biorąc pod uwagę porywiste przeciwnie i bojące wiatry. Maszyna spisała się wspaniale, a i pilot czuł się doskonale. Nie zmęczył go ten wielogodzinny lot w trudnych warunkach meteorologicznych.

Ranek 27 kwietnia 1933 roku był wyjątkowo pogodny i słoneczny, wbrew przewidywaniom meteorologów. Na lotnisku okeńskim biyszczała w słońcu SP-AJU, a koledzy, przyjaciele oraz konstruktorzy samolotu serdecznie zegnali mającego za chwilę startować kpt. pil. Stanisława Skarżyńskiego.

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

„Milczący Kondor” nad Atlantykiem

Po starcie RWD-5 bis poleciała kursami na Północ. Sprzyjała — jak na razie — piękna pogoda, ale tuż za stolicą Wielkopolski pogoda uległa znacznemu pogorszeniu: silny wiatr i deszcz utrudniał pilotowi prowadzenie maszyny. Potem przez Zbąszyń, Lipsk, Frankfurt nad Menem, Strassburg i Melhuzę Skarżyński leciał do Lyonu, ładując po ośmiu godzinach lotu na lotnisku Bronn, gdzie miały nastąpić wszystkie formalności związane z lotem rekordowym. Odłożono je jednak do dnia następnego.

Natychmiast po przylocie do Lyonu kpt. pil. Stanisław Skarżyński nadal lakonicznie depeszę do Aeroklubu w Warszawie: „Maszyna doskonała!”

Nazajutrz przystąpiono do ważenia samolotu przez komisarzy sportowych, wyznaczonych przez Aeroklub Francji. Okazało się, że SP-AJU waży

o 12 kg za dużo — ważyła 462 kg, co niesłyszalnie zmniejszyło Skarżyńskiego. Jeszcze raz zaglądał do wszystkich zakamarków, czy nie zapomniał czegoś wylądować z maszyny, ale bezskutecznie. Samolotowi groziło nieprzyjęcie do lotu rekordowego. Zakłopotany Skarżyński uparcie szukał przyczyny nadwagi. Przypadkowo zakoczył samolotem, trzymając go za skrzydło i stwierdził z radością, że w jednym ze zbiorników skrzydłowych „zadekowała” się benzyna. Po jej wypuszczeniu samolot ważył 446 kg! RWD-5 bis protokolarnie dopuszczono do lotu rekordowego.

Z Lyonu Skarżyński wystartował dopiero 30 kwietnia 1933 r. i chociaż od St. Louis dzieliło go tylko 4,625 kilometrów, dotarł tam dopiero 4 maja, z powodu bardzo złych warunków atmosferycznych, które zatrzymały go w Perpignan. Serdecznie witany przez komisarzy sportowego Aeroklubu Francji, a jednocześnie dyrektora Francuskiej Linii Pocztowej — de Vieux i personel lotniska — wylądował tam przed południem. Samolot wzbudził wielkie zainteresowanie tak dyrektora de Vieux, jak i całego personelu lotniska, przede wszystkim ze względu na lilipucie rozmiary — rozpiętość 10,2 m, a długość 7,2 m — a ponadto nie mogli się nadziwić, że po



wypadek katastrofy! To szaleństwo! Zupelne szaleństwo! Polak w dowcipny sposób odrzucił wszystkie te zarzuty i wyperswadował Francuzowi swoje racje, udostruchał go w końcu i de Vieux nie tylko wyraził zgodę na przelot transatlantycki, ale obiecał pomoc finansową i techniczną na wszystkich lotniskach brzoźwijskich, należących do tej linii pocztowej.

Trzy dni zabawił kpt. pil. Stanisław Skarżyński w St. Louis, poświęcając czas na przygotowanie maszyny do gigantycznego lotu, w czym mu

trów nie nie widzi pod sobą, zupełnie brak widoczności. Nad morzem rozciągnęła się lekka mgła i musiał korzystać ze sztucznego horyzontu oraz innych przyrządów nawigacyjnych do tzw. „ślepego lotu”. Gdy już nieco oswoił się, zniżył lot do stu metrów, a potem jeszcze do 50 metrów wysokości. Po niecałej godzinie dostrzegł biały pas wybrzeża, a na lewo światła Dakaru. Przeleciał tuż nad nieoświetlonym lotniskiem, które w blasku księżycy było tak widoczne, że z łatwością odczytał napis: „DAKAR”. Po chwili był już nad oceanem.

Wzbił się na wysokość około 500 metrów, ale dłuższy lot „na ślepo” jest bardzo męczący dla pilota, toteż często schodził na wysokość 50 metrów, aby oczy wypoczęły, nie wpatrując się w jeden punkt. Poza tym nalał sobie w pokrywkę od termosu wody i co chwila zwilżał powiekę watą namoczoną w tej wodzie.

Po jakimś czasie odczuł, że robi mu się nie tyle gorąco, co duszno. Podczas dłuższego lotu w nasyconym parą wodną powietrzu, przy temperaturze równikowej, nie pomagała żadna wentylacja. Porzucił ubranie i zdjął kołnierzyk od koszuli. Ubrał się nieco cieplej ze względu na lot na większej wysokości w następnej jego fazie.

Walczył z sennością pilota wynajdywał sobie najrozmaitsze zajęcia. To przepompowywał ręcznie paliwo z dolnego zbiornika (w kadłubie) do górnych (w skrzydłach), to znów ciągle coś jadł, aby tylko nie siedzieć beczynnym. Starał się jednak nie jeść twardo, ponieważ wtedy ulega się złudzeniu, że silnik „przerzywa” i pilot denerwuje się. Tak leciał siedem i pół godziny. Przed świtem SP-AJU dostał się w strefę deszczu. Skarżyński ledwie utrzymywał stery, tak rzucało maszyną. Ale wzblił się na wysokość tysiąca siedmiuset metrów i tam było już spokojnie, tam również zastał pilota wschód słońca. Miał już za sobą najtrudniejszą część trasy, bo odbywaną nocą, ale to dopiero jedna trzecia drogi.

NAD ATLANTYKIEM

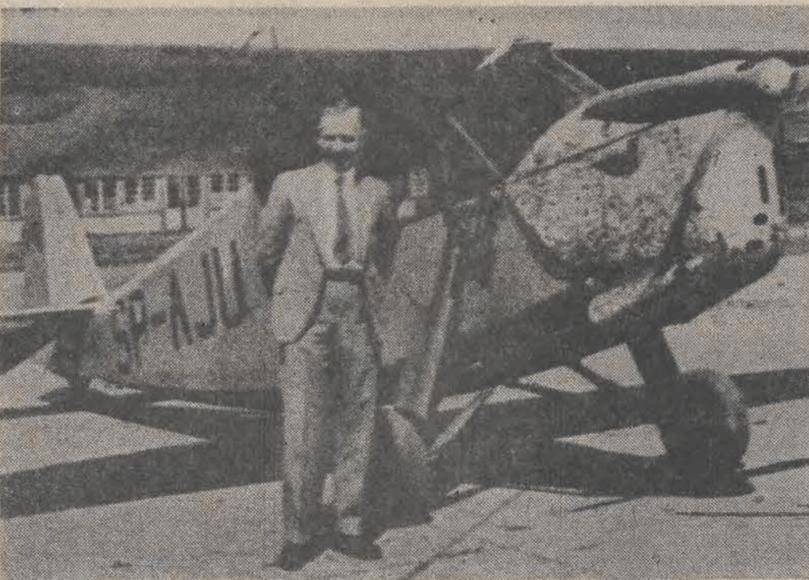
Znikł lot, lecz niesamowite rzucanie maszyną przedzieranie się przez ulewne deszcze tak dały się Skarżyńskiemu we znaki, że prawie natychmiast wywindował się na wysokość dwóch i pół tysiąca metrów. Liczył minuty, nie mogąc doczekać się widoku brzegu amerykańskiego. Rozglądał się na lewo i na prawo, spodziewając się dostrzec skalistą „wyspę” Roche S. Paul. Powinna być właściwie po lewej stronie, lecz nie wiedział dokąd go „zanoszą”. Zdziwił się, gdy o godzinie 10,40 ujrzał pod sobą, pomiędzy chmurami, małą kamenną podkawkę, o którą rozbił się fale morskie. Chciał się upewnić, czy to jest poszukiwana „wyspa”, ale posiadał tylko mapę w skali jeden do dziesięciu milionów, na której „wyspa” oznaczona była tylko punkcikiem, on zaś przypuszczał, że jest o wiele większa. Jednak po obliczeniu czasu lotu i odległości, stwierdził, że jest na dobrej drodze. Upewniły go w tym dwa płynące statki z Teneryfy do Ameryki Południowej. Odetchnął z ulgą. Leciał dalej, przebijając się przez zwalę chmur nagromadzonych nad morzem.

Zniknął słaby deszcz, a podstawa chmur wynosiła siedemset metrów. Im bliżej brzegu, tym większe nasilenie chmur burzowych, a między wysepką Rocas a brzegiem Stanisław Skarżyński napotkał aż trzy potężne fronty burzowe. Gwałtowne, szamocące rzucanie maszyny ledwie opanowywał. Potem ulewne deszcze, zmuszające pilota do częstego korzystania ze „sztucznego horyzontu”. Pilot najpierw odczuł radość na widok brzegu kontynentu, a potem nastąpił moment niesamowitego napięcia w obawie, aby teraz, kiedy ma już wszystko za sobą, na ostatnich kilometrach silnik RWD nie nawał. Ale wkrótce obawy minęły, a jednocześnie minęło zmęczenie psychiczne i wyczerpanie fizyczne. Skarżyński poczuł się tak świeżo, jak gdyby dopiero co rozpoznał ten gigantyczny lot. Trasa St. Louis-Cap S. Roque, długości 3,640 kilometrów przebył w siedemnastu godzinach i piętnastu minutach, a więc ustanowił rekord światowy długości lotu bez lądowania!

START DO LOTU PRZEZ ATLANTYK

Niedziela, 7 maja 1933 roku, była dniem pogodnym, wspaniałym wieczór w St. Louis. Niebo wyskrzzone gwiazdami i jasne od blasku księżycy. Na lotnisku zebrała się grupa ciekawskich i personel lotniska, żegnając kpt. pil. Stanisława Skarżyńskiego i życząc pomyślnych wiatrów. O godzinie 23,00 SP-AJU wystartowała, kierując się w stronę Dakaru.

Kiedy po dziesięciu minutach lotu Skarżyński znalazł się nad wodą, zdziwił się, że lecał na wysokości 500 me-



Któż niepokoi się o czarownicę? Kogo interesuje czy są szczęśliwe czy smutne? Jeśli są wesole, to ich radość jest niedostępna dla zwykłych ludzi, osiągnęły ją zaprzęając duszę. Jeśli cierpią, ich cierpienia też nie poznamy, zsyłane jest przecież przez ich czarnych bogów; jest więc tym, na po zasługują. A przecież są istotami ludzkimi, z sercem jak my wszyscy.

Morganor była królową Entabany, pochodziła z jednego z najstarszych rodów czarnoksiężniczek kraju. Od najmłodszych lat pod kierunkiem babki — jako, że matka wcześniej ją osierociła — studiowała sztuki tajemne i nim ukończyła lat dwadzieścia wiedzę przewyższała już swoich mistrzów. Poddani, którzy byli jej niechętni — a było ich niewiele — twierdzili, że źródłem jej siły są rozkładające się szczątki mumii małpy, które jakoby zjadała w bezkieszczykowe noce. Mówili też, że odwiedzała ją duchy okaleczonych ludzi, których zameczyła torturami. Wiadomo było, że żaden z żyjących magów nie dorównywał jej w wiedzy tajemnej.

Z całą znajomością sztuk tajemnych była mądrą królową i kraj rozkwitał pod jej rządami. Słynne fajanse rzemieślników Entabany znane były szeroko w świecie, wszędzie tam, gdzie dopływać mogły na białych żaglowcach. Tkaniny kobiet Entabany miały swoją cenę na każdym rynku. W Entabanie nie było dzieci, które wiedziały co to głód, nie było starców drążących na myśl o jutrze.

Morganor miała wielu kochanków. Ulegali — jak powszechnie mówiono — nie przed blaskiem królewskiej władzy, lecz przed piękną kobietą, przed jej głosem słodkim jak muzyka złotej liry. Ale królowa szybko nudziła się nimi, więc odchodzili pamiętając, że nie wolno im czuć zazdrości.

Gdy królowa ukończyła lat 23 przysłano na jej dwór poselstwo z kraju ludzi o śniadych twarzach. Wśród żołnierzy poselstwa był kapitan imieniem Lłwdrzes, potężny mężczyzna o łwiej sile i śniadym obliczu. I Morganor — chyba za sprawą gwiazd — pokochała go.

Początkowo nieśmiało pragnęła zwrócić jego uwagę drobnymi prezentami. Ale kiedy nie otrzymała odpowiedzi, otwarcie okazała mu swoje uczucie obdarzając go królewskimi darami.

Morganor nie mogła uwierzyć, że był nadal chłodny i obojętny. Zagniewana, sporządziła napój miłosny, który podał mu gdy zaszedł do wieżerzy. Roziskrzonymi oczami patrzyła, jak odstawił opróżniony puchar. Ale Lłwdrzes zachowywał się tak, jakby wypił czarkę wody.

Morganor wpadła w rozpacz. Wstała popieszenie i odeszła do swojej komnaty. Długo chodziła po niej grząc z żalu białe dłonie i szarpiąc w gniewie piękne, czarne włosy. Nie zdarzyło się dotąd, by jakiegokolwiek życzenia, wykonanego czy nie, nie zostało spełnione. Upór Lłwdrzes sprzeciwny był z wszystkim do czego przywykła. Nie chciała przyjąć go do wiadomości.

W końcu wezwała dowódcę straży pałacowej i wydała mu rozkazy. Lłwdrzes miał zostać zamknięty w lochu i tam wysmagany. Czyż nie wzgardził jej słowami, usmiechem, podarkami? Teraz okaże się, co może zdziałać ból! Królowa rzuciła się ze szlochem na otomane.

Minuty mijaly i Morganor, która kazała wymierzyć dwadzieścia batów, zaczęła się niepokoić. Wstała, kierując się do drzwi komnaty, kiedy przerażony sługa, bijąc przed nią pokłony do samej ziemi, wykrztusił, że Lłwdrzes właśnie zmarł.

Morganor zamarło serce. Biegła przez pałac jak oszalała. Kiedy dopadła lochu, w migającym świetle pochodni ujrzała, że ciało Lłwdrzesza pozbawione było kończyn, umierał w straszliwych męczarniach. Obok zobaczyła inne ciało zawieszane na przywiązanej do stropu linie. Był to dowódca straży pałacowej, który popełnił samobójstwo.

Morganor uprzytomniła sobie, zbyt późno, że oddała Lłwdrzesowi w ręce człowieka, który był jej kochankiem przez parę nocy. Pamiętała jak zbladła, kiedy powiedziała mu że nie chce go już więcej widzieć. Dlaczego nie zauważyła wtedy jego zazdrości? To zazdrość spowodowała, że zabił Lłwdrzes. A potem sam się powiesił.

Morganor ukłękła przy ciele swojego ukochanego i podniosła szczątki jego kończyn, niczym Izis poszukująca zmarłego Ozyrysa. Obmyła je łzami, okryła pocałunkami. Potem ułożyła starannie i zaniósła do swojej komnaty. Tam przez wiele dni i nocy płakała samotnie.

Płakała, aż włosy jej mokre były od strumieni łez. Wyjęła węgle z kominka i suszyła nad nimi mokre sploty. W końcu przyszła do niej piastunka przynosząc księgę magicznych zaklęć wraz z zaczarowanymi pierścieniami i bransoletami. Zapytała drżącym głosem: „Królowo Entabany, jak długo jeszcze będziesz oddawać się rozpaczom? Czy zapomniałaś, że jesteś córką królów i mistrzynią sztuki tajemnej?”

Morganor jakby nie słyszała jej słów, ale w końcu powstała. Wezwała służące, które obmyły ją i namaściły. Oczyszczyła się wonią kadzidła i przystroila w brokatowe, dziewicze szaty. Nałożyła magiczne pierścienie, bransolety i zapinki. Otworzyła wiele ksiąg spośród tomów stojących na półkach.

Podjęła się trudnego zadania. Ożywienie ciała samo w sobie nie jest trudne, może tego dokonać każdy uważny mag. Ale można tchnąć w ciało sztuczne życie, będzie więc poruszać się sżywno, patrząc przed siebie niewidzącymi oczyma. Można też zmusić demony, potężne duchy, aby weszły i ożywiły ciało. Ale Morganor nie chciała żadnego z tych sposobów. Lłwdrzes musi ożyć takim, jakim był naprawdę. A ten cel, Morganor wiedziała doskonale, był na granicy potęgi magii.

Pracowała wiele dni, lecz bez powodzenia. Mocą czarów udało jej się wprowadzić powstrzymać rozkład ciała Lłwdrzes, ale pozostało ono martwe. Na parę dni przerwała, aby przecząc niepomyślny dla siebie układ gwiazd i wtedy zaklinala duszę mordercy swe-

go ukochanego. Gdziekolwiek był, w jakikolwiek mrokach zaświata powinien okupić swój czyn. Musi okupić! Raz jeszcze powróciła do swego dzieła.

Dwudziestej szóstej nocy, kiedy stała wewnątrz potrojnego koła objawił się jej potężny duch. Proponował jej układ: jeśli zrezygnuje z części swojej czarodziejkiej siły jej wysiłki zostaną uwiecznione sukcesem i Lłwdrzes ożyje. Musiała ponieść jeszcze jakieś wyrzeczenie, ale duch nie nazwał go.

Morganor zbladła cała, ale zgodziła się. Stała koło w którym stała, oddała duchowi wszystkie swoje przedmioty tajemne zachowując jedynie dwie księgi i prosty złoty amulet. Potężny duch uwolniony od ograniczeń, które Morganor nałożyła na niego i całe jego plemię, zatrzepotał skrzydłami ze szczęścia i pomknął niczym błyskawica. Leżący na marach Lłwdrzes poruszył się.

Poruszył się, powiedział jakieś słowo. Po chwili usiadł, spojrzał na nią. Uśmiechnął się. I może za sprawą czarów potężnego ducha zmieniła się natura Lłwdrzes, a może — jak przypuszczała Morganor — do tej pory odrzucał ją powodowany dumą i obawą, by nie ulec kobiecie tak potężnej, pokochał ją całą mocą swej miłości. Ich dotknięcia były niczym muśnięcia orlich skrzydeł. Spełnienie miłosnych pragnień dało Morganor wiele radości. Twarz jej jaśniała szczęściem.

Miesiąc, który spędziła ze swym wrocnym do życia kochankiem minął jak dzień. Każde spotkanie potęgowało uczucie Morganor. Marzyła by uczynić go królem Entabany, ale wiedziała że to niemożliwe. Jej poddani, ludzie o sżywnych poglądach dumni byli ze swej królowej-czarodziejki. Więc gdyby ich władca

Miłość czarownicy

MARGARET ST. CLAIR

uczynił człowieka przywróconego życiu — a niestety znaki śmierci pozostały widoczne, mimo że Lłwdrzes żył — mogłoby powstać przeciw niej i mieliby trochę racji. Mogłoby dojść do wojny domowej i Entabana poniosłaby wszystkie konsekwencje tej winy, i tak już plotki przedostawały się z pałacu do miasta.

Dłatego też trzydziestego pierwszego dnia, za zgodą Lłwdrzes, Morganor sprowadziła nań sen głęboki niczym śmierć, z której mocy niedawno został wyrwany. Za posłanie służyła mu maszynowa skrzynia inkrustowana złotem, którą Morganor zawsze trzymała w swojej sypialni. Jeśli nie było niebezpieczeństwa, budziła swego kochanka używając reszły swojej sztuki tajemnej, którą zachowywała i oddawała się miłosnym uciechom. Te bezbożne zabawy tak ją absorbowały, że nawet nie spoglądała na innych mężczyzn.

Ale doradcy dworu nalegali na ślub. Wręczyli jej petycję uprzejmą w słowach, ale ostrą w tonie, w której mówili o państwie bez dziedzica oraz o wszystkich nieszczęściach, które spaść mogą na kraj pozbawiony następcy tronu. Gdy Morganor odprowadziła ich, doradcy skłonili się z szacunkiem do ziemi i wystoso-

wali nową petycję. Morganor w końcu uznała ich racje i skapitulowała.

Obwieściła członkom rady, aby wybrali człowieka, który im odpowiada. Przejeli swoją misją długo zastanawiali się, aż w końcu wybrali Fabiusza, księcia sąsiedniego kraju, znanego z dzielności (Morganor zaśmiała się tylko, gdy to usłyszała) i siynnego pobożnością. Na obrazie, który jej pokazał prezentował się okazałe, mimo drobnej, niemal dziewięcioletniej twarzy.

Lud świętował małżeństwo z radością większą niż sama Morganor. Ledwie tolerowała ona swego małżonka, a i to tylko przez wzgląd na dobro kraju. Mimo iż był człowiekiem o najszerszych intencjach, był dla niej nędnym piomyckiem, ledwo widocznym w boskim ogniu Lłwdrzes.

Niebawem Morganor urodziła dziedzica. Był bez wątpienia dzieckiem jej prawowitego małżonka, bo ci, którzy byli umarli, mimo całego żaru nie mogą zapalić nowego życia. Ale Morganor całą duszą kochająca Lłwdrzes uważała, że to właśnie on, jej kochanek, zapalił w jej łonie iskry nowego życia. Była szczęśliwa w swoim macierzyństwie. Wtedy to nawiedziła Entabanę trwająca przez dwa lata susza.

Sama susza nie była nieszczęściem. Olbrzymie spichrzę wybudowane jeszcze przez babkę Morganor, zostały przez nią wzmocnione i powiększone. Entabana mogła przeżyć 10 takich suchych lat i nie odczułaby ich skutków. Ale Nomadowie zamieszkujący ziemie na północ od Entabany, żyjący zawsze na granicy głodu, gdy ujrzeli wyschnięte pastwiska i szalejący nad nimi wiatr, ruszyli jak smiercionośna burza, z samego serca pustyni.

Mądra królowa Morganor nienawidziła woj-

odpawiać. Pomagał też Morganor w spełnianiu codziennych obowiązków.

W czasie gdy król tkwił w stolicy modląc się i poszcząc, rozegrano wiele bitew. Niepewna sytuacja zwolniła Morganor z wielu ograniczeń, którym dotąd podlegała, spędziła więc wiele chwil z tych niespokojnych nocy w objęciach ukochanego. Armia Entabany, mimo braku doświadczenia biła się z desperacką odwagą. A potem, po wielu latach historii orzekli, iż Entabanę wyratował z opresji trup i przeklęta czarownica.

Rozegrano wielką bitwę — koszar rozpaczy, krwi i nadziei. Lłwdrzes walczył pod królewskimi sztandarami jak lew. W walce zginęli wszyscy Nomadowie i niemal połowa wojowników Entabany.

Dla Morganor nastął znowu czas uwagi i ostrożności. Za sprawą czarów uspiła Lłwdrzes smem do śmierci podobnym, ogłaszając iż zmarł on z ran odniesionych w walce, a ciało leżące na marach wystawiła na widok publiczny. Kiedy orszak dojechał do stolicy potajemnie przeniosła ciało do swych komnat i umieściła jak poprzednio w złotym inkrustowanej skrzyni.

Lecz Fabiusz, jako mąż prawy, zazdrosny był o swój honor. Dotarli już i do niego krążące plotki. Stał się podejrzliwy. Którejś nocy, kiedy Morganor spała twardo, a Lłwdrzes spoczywał w swojej skrzyni, wtargnął do komnat królowej, otoczony swoją przybożną drużyną.

„Przekłeta wiedźmo!” krzyknął, a ona patrzyła na niego zaszpanym wzrokiem. „Gdzie jest człowiek z którym hańbisz mój honor?”

Morganor na chwilę ogarneńo zdumienie. Fabiusz nigdy nie był dla niej osobą, z którą się liczyła. Nie rozumiała o czym mówi. „Nigdy cię nie shańbiłam” odrzekła zaszpanym głosem.

„Nigdy?” Przeszukiwał sypialnię zaglądając za kotary i przeczesując mieczem kąły. W końcu rzekł do swojej sżwy: „Ten pies przekłety musi być gdzieś tutaj. Wykurzymy go stąd. Podpalajcie!”

Jeden ze sług przytknął pochodnię do kotary wiszącej za skrzynią, w której spoczywało ciało Lłwdrzes. Kotara zajęła się ogniem. Po chwili cały pokój płonął. Morganor zaczęła pisać.

Wyskoczyła z łoża i podbiegła do półki, na której leżały ostatnie z magicznych przedmiotów, które zachowywała. Myślała tylko o jednym: siłą magii powstrzymać ogień, nim zacznie płonąć skrzynia z ciałem kochanka. Obawiała się nie tylko jego śmierci. Bała się skutków, które wyniknęłyby z naruszenia tajemnicy nieprzekraczalnej wiedzy. Potężny duch ostrzegł ją przecież, iż wyrzeka się nie tylko tajemnej wiedzy. Ale dwóch żołnierzy Fabiusza zatrzymało ją. Mimo szarpania nie mogła się wyswobodzić.

Wtedy, zwracając się do swego małżonka powiedziała: „Każ mnie uwolnić, a wyznacz mi wszystko. Każ mnie puścić, a przysięgam, że już więcej nie shańbię twojego imienia!”

Fabiusz spojrział na nią uważnie. Twarz jaśniała mu tryumfem. „Czy przysięgasz na honor królowej?”

„Przysięgam!” odparła Morganor. „Puście ją!” rozkazał żołnierzom.

Cały pokój już stał w ogniu. Morganor przebiegła przez płomienie i krztusząc się od dymu wzięła do rąk książki i amulet. Wyszła z komnaty, uczyniła magiczny znak amuletem, wysypała na płomienie jakiś proszek. Ogień zgasł równie nagle jak zapłonął.

Morganor zauważyła, że skrzynia mimo nadpalenia nie była uszkodzona. Podbiegła do niej, ukłękła i objęła rękami niczym kochanka. Była wstrząśnięta tym, co się stało.

Fabiusz podszedł do niej. W ręce błyszczało mu ostrze miecza. „Więc tu jest ukryty!” powiedział z goryczą. „Z drugi wiedźmo, zabiję go!”

Morganor podniosła się powoli z kłęczek. „Mężu królowej Entabany” powiedziała swym dzwicznym głosem. „Czy chcesz nadal zajmować obok mnie miejsce na tronie królewskim?”

Fabiusz aż zaniemówił; jednak szybko się opanował. „Mszczę swoje shańbione imię” odrzekł.

„Twoje dobre imię nie pomści cię, kiedy każe mój żołnierzom cię zabić” powiedziała Morganor. „Oni pamiętają, kto walczył wraz z nimi, a kto poszedł i odprowadził modły. Dlatego zaklinam cię, na głowy naszych dzieci, jeśli chcesz rządzić wraz z mną tym krajem nie dotykaj tej skrzyni”. Wiedziała, że gdyby Fabiusz zobaczył kto leży w skrzyni, doszłoby do wojny domowej.

Ich oczy spotkały się. Patrzył na nią niczym drapieżny jastrząb na orła. W końcu rzekł: „Niech tak będzie. Ale pamiętaj, złożyłaś królewską przysięgę!”

„Pamiętam” odrzekła.

Kiedy Fabiusz ze swoją świtą wyszli, Morganor podeszła do okna i długo stała przed nim patrząc w dal. Niebo zaczynało szarzeć, świt był już niedaleko. Myślała o nieszczęściu, któremu musi stawić czoła. Dumiała o układzie planet, o ludzkich losach. W końcu podeszła do skrzyni, aby po raz ostatni obudzić swego ukochanego.

Usiedli przy stole i długo rozmawiali trzymając się za ręce. Przysięga Morganor ponownie uspiła go, Lłwdrzes już po raz ostatni ucałował jej królewskie usta. Teraz Morganor powróciła do swego, prawego małżonka. Mijały dni i noce podobne do siebie, szare i monotonne.

Ciało kochanka powierzyła ludziom, których darzyła największym zaufaniem, aby zawieźli je w góry na wschodnich rubieżach królestwa i ukryli w pieczarze wydrążonej w skale. Uczynili to w największej tajemnicy. I odtąd kapitan śpi smek zaczarowanym czekając dnia, w którym wienka królowa-czarownica, lub ktoś z jej rozkazu, przyjdzie aby go obudzić.

Tłumaczyła:
ANNA ZASTAWNIK



Rys. P. Ulatowski

